

W numerze: KAROL BADZIAK *Spisek damskiej mafii* • DOROTA CHRÓSCIELEWSKA *Zalamanie psychiczne* • KONRAD FREJDICH *Perła bez blasku* • HENRYK CZARNECKI *Obca dziewczyna* • Recenzje • Zewsząd o wszystkim • Nowela kryminalna

odgłosy



33 (769)
13. VIII. 1972 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Rys. B. Stuszkiewicz

(Fragment pamiętnika pt. „Zolnierski obowiązek”.
Fragment drukowany poniżej nosi tytuł „Warszawa”).

Gdy tylko nasze wojska wkroczyły do Polski, stanęło przed nami wiele skomplikowanych problemów. Na wyzwolonych terenach (rozciągały się one już do Wisły) znajdowało się wiele uzbrojonych polskich oddziałów walczących z okupantem. Były tu: Gwardia Ludowa, Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie. Działały także mieszane oddziały partyzanckie dowodzone przez radzieckich oficerów, którzy z różnych powodów znaleźli się na nieprzyjacielskim terytorium. Grupy te składały się z ludzi o najrozmaitszych orientacjach politycznych, złączonych wspólnym celem walki z wrogiem.

Obecnie, z przyjsciem naszych wojsk, powstała możliwość połączenia się ich w potężną siłę.

Stosunek ludności polskiej do Armii Czerwonej był ciepły i przyjazny. Było widać, że lud serdecznie się cieszy z naszego przyjscia i stara się zrobić wszystko, by przyspieszyć wypędzenie okupanta. W miarę posuwania się naprzód i Armia Wojska Polskiego była szybko uzupełniana ochotnikami spośród miejscowej ludności. Wlewały się w nią oddziały GL, AL i innych sił oporu. Jedynie AK z uporem trzymała się z boku. Od chwili pierwszego spotkania z przedstawicielami tej organizacji pozostał u nas nieprzyjemny osad. Otrzymałszy informacje, że w lasach, na północ od Lublina znajduje się polska formacja nazywająca siebie 7 Dywizją AK, zdecydowaliśmy dla nawiązania łączności wysłać kilku naszych oficerów sztabowych. Spotkanie się odbyło. Polscy oficerowie w uniformach akowców zachowywali się wyniosłe, odrzucali propozycje o współdziałaniu w walce przeciwko niemiecko-faszystowskiemu wojsku, oświadczyli, że AK podlega jedynie rozkazom polskiego rządu w Londynie oraz jego pełnomocnikom... Swój stosunek do nas określili w ten sposób: „Broni przeciwko Armii Czerwonej nie użyjemy, lecz i kontaktów żadnych z nią mieć nie chcemy”. Stanowisko dość szczególne.

W międzyczasie w Lublinie rozpoczął pracę PKWN. On też zajął się rozwiązywaniem wszystkich podobnie delikatnych problemów.

Na zaproszenie Rządu Polskiego znalazłem się w Lublinie. Poznałem większość członków nowego rządu. Byli to patrioci oddani swojej ojczyźnie, rewolucjoniści — internacjonalistami. Wypadło im w owym czasie wziąć na swoje barki ogromny ciężar, lecz towarzysze nie tracili otuchy i byli w optymistycznym nastroju. Byłem obecny na defiladzie oddziałów i Armii WP oraz na demonstracji robotników

Lublina. Od tego czasu datuje się nasza współpraca z Rządem Polskim.

2 sierpnia nasze oddziały zwiadowcze otrzymały dane, że w Warszawie jakoby rozpoczęło się powstanie przeciwko niemiecko-faszystowskiemu okupantowi. Wiadomość ta bardzo nas zaniepokoiła. Sztab Frontu natychmiast zajął się zbieraniem informacji oraz lokalizacją rozmiarów powstania i jego charakterem. Wszystko dokonało się tak niespodziewanie, że gubiliśmy się w domysłach, sądząc początkowo, czy to nie sami Niemcy rozsiewają te wieści, a jeśli tak, to w jakim celu? Mówiąc szczerze, czas w jakim się rozpoczęło powstanie, był najmniej sprzyjający. Odnosiło się wrażenie, że przywódcy powstania celowo wybrali ten okres dla poniesienia klęski... Oto jakże myśli przychodziły do głowy. W tym czasie 48 i 65 Armie toczyły walki po-

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

WSPOMNIENIA MARSZAŁKA

nad sto kilometrów na wschód i północny wschód od Warszawy (nasze prawe skrzydło było osłabione odejściem do dyspozycji Głównego Dowództwa dwóch armii, a ponadto należało, rozbiwszy silnego przeciwnika, wyjść ku Narwi i zająć tereny na jej zachodnim brzegu). 70 Armia dopiero co zdobyła Brześć i oczyszczała teren z resztek okrążonych tam wojsk niemieckich. 47 Armia prowadziła walki w rejonie Siedlec, w kierunku północnym. 2 Armia Pancerna wplątana w walki o dojscie do Pragi (przedmieście Warszawy na wschodnim brzegu Wisły), odparła kontratak formacji pancernych. 1 Armia WP, 8 Armia Gwardyjska i 69 forsowały Wisłę na południe od Warszawy pod Magnuszewem i Puławami, zdobywając i poszerzając zdobyte tereny na zachodnim brzegu — było to podstawowym zadaniem wojsk lewego skrzydła. Armie mogły i powinny były to zadanie wykonać.

Oto jakże było rozmieszczenie wojsk na naszym froncie w momencie, kiedy w stolicy Polski wybuchło powstanie.

W swoim czasie znaleźli się tacy, którzy usiłowali w zachodniej prasie obwiniać wojska i Frontu Białoruskiego, oczywiście i mnie osobiście jako dowódcę, że niby świadomo-

mie nie podtrzymaliśmy warszawskich powstańców skazując ich tym samym na śmierć.

Jeśli idzie o głębokość, Operacja Białoruska nie ma sobie równych. Na prawym skrzydle frontu sięgała do 600 km. Tę odległość pokonano tocząc nieustanne walki. Wojska prawego skrzydła wytyczyły ostatki sił, by wypełnić zadanie Głównego Dowództwa. Wyzwolenie Warszawy mogło nastąpić więc jedynie w wyniku nowej poważnej ofensywy, co też później zostało przeprowadzone. We wrześniu 1944 roku należałoby dokonać szeregu licznych przedsięwzięć, by zdobyć Warszawę chociaż jako wyjściowy obszar operacyjny.

Lecz ci, którzy popchnęli warszawiaków do powstania nie myśleli o połączeniu się ze zbliżającymi się wojskami Związku Radzieckiego i Armii Polskiej. Bali się tego. Myśleli zupełnie o czym innym, wprowadziwszy do powstania elementy politykierstwa, dążyli do przejęcia władzy przed wkroczeniem do Warszawy wojsk radzieckich. Takie było polecenie panów z Londynu.

W swym potężnym ruchu na Zachód, zmiatając wszystkie przeszkody stworzone przez wroga, wojska naszego Frontu wykonały zadanie z nadwyżką, zdobywając tereny dla przygotowania nowej operacji. Lecz na jej rozpoczęcie potrzebny był czas.

Tak, Warszawa była obok, prowadziliśmy ciężkie boje o podejście do Pragi. Lecz każdy krok wymagał ogromnego wysiłku.

Wspólnie z grupą oficerów byłem w walczącej tu 2 Armii Pancerniej. Z punktu obserwacyjnego, ulokowanego na wysokim kominie fabrycznym, oglądaliśmy Warszawę. Miasto było spowite w dymy. Wszędzie płonęły domy. Wybuchaly bomby i pociski. Czulo się, że w mieście toczy się bój.

Lecz żadnej łączności, jak dotąd, z powstańcami nie mieliśmy. Nasz zwiad usiłowal nawiązać łączność z nimi wszelkimi sposobami. Nic z tego nie wyszło.

Czynną pomoc w wyjaśnieniu zdarzeń w Warszawie wzięli na siebie polscy towarzysze z Lublina. Po pewnym czasie było wiadomo, że powstanie zostało zorganizowane przez grupę oficerów AK i rozpoczęło się 1 sierpnia na sygnał polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Dowodził powstaniem gen. Bór-Komorowski oraz jego pomocnik, gen. Monter (dowodzący warszawskim okręgiem wojskowym). Najgłówniejszą rolę spełniała Armia Krajowa — jej oddziały były najliczniejsze, najlepiej uzbrojone i zorganizowane. Do powstania dołączyli się wszyscy, nastojeni patriotycznie mieszkańcy Warszawy, wszyscy, którzy ponieśli nienawiścią do okupanta i chęcią jak najszybszego wypędzenia zaborcy. Chwyciwszy za broń, warszawiacy bili wroga. O niczym więcej nie myśleli.

Ale ci, którzy poderwali lud Warszawy w takiej wyjątkowo niesprzyjającej sytuacji, winni byli dobrze pomyśleć decydując się na taki krok.

Dalszy ciąg na str. 3



Reportaż z Syjamu

„FRANCE NOUVELLE” — PARYŻ

W bieżącym roku nie ma politycznych wakacji. W najbardziej upalnym okresie spotkali się na Krymie przywódcy partii komunistycznych i robotniczych z krajów socjalistycznych, dokonując oceny aktualnej sytuacji międzynarodowej. Również bieg wydarzeń w różnych rejonach świata wskazuje, że kalendarzowe lato nie jest okresem pełnego wypoczynku dla polityków.

W EUROPIE, po krótkiej przerwie, znów na widownię powraca problematyka niemiecka. W bieżącym tygodniu zbiera się gabinet boński, aby m. in. omówić stan rokowań z NRD oraz wysłuchać sprawozdania z pekińskich rozmów min. Schroedera. Właśnie zakończyła się czwarta tura rozmów między przedstawicielami obu państw niemieckich, które dotyczą tzw. układu generalnego. Kolejne spotkanie ministrów: Bahra i Kohla zapowiedziano na 16 sierpnia. Będzie to — od początku rozmów — już 50. Plonem dotychczasowych, co chcielibyśmy tylko przypomnieć, jest wynegocjowanie układu komunikacyjnego. Nowum ostatniej rundy rozmów było zgodne stwierdzenie przez przedstawicieli obu stron, że osiągnięty został taki punkt, który pozwala przejść do konkretnych rokowań. Oznacza to, iż wstępna wymiana poglądów dobiegła końca. Sekretarz stanu NRD — Kohl oświadczył publicznie, iż NRD jest zainteresowana w szybkim kontynuowaniu rokowań i ich pomyślnym finałem. Bahr zaś podkreślił, że chociaż rozstrzygnięcia oczekuje wiele skomplikowanych i trudnych spraw — „spotkanie na Krymie sprzed kilku dni, a także spotkanie czołowych gremiów NRD... wykazało, że polityka odprężenia będzie kontynuowana”.

Koalicyjny rząd NRF stoi w obliczu wyborów do Bundestagu, w jego wstępie interesie leży finalizowanie wyników polityki wschodniej. W tym pojęciu mieści się także nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ChRL, co nieoficjalnie zostało już właściwie zapowiedziane.

Wydarzeniem ostatnich dni w rejonie BLISKIEGO WSCHODU jest proklamowanie całkowitej unii Egiptu i Libii. Po decyzji z wiosny ub. roku o utworzeniu Federacji Arabickich jest to więc kolejny krok, jeszcze trudniejszy niż droga federalna. Oczywiście — język arabski, historia, islam i wspólny wróg Izrael stanowią o historycznych i współczesnych ich zbliżeniach. Ale też oba kraje różnią się zasadniczo pod względem gospodarczym, społecznym*. Unia ma wejść w życie za dwanaście miesięcy. Komentatorzy zachodni podkreślają, że rok w świecie arabskim; to więcej niż w Europie i że w tym czasie wiele może się zdarzyć. Przypominają też fiasko unii egipsko-syryjskiej (1958—61). Czy mają rację, prorokując niepomyślny finał? Nie sądzę. Właśnie doświadczenie tamtych lat, oraz fakt, że Libia w odróżnieniu od Syrii bezpośrednio przylega do Egiptu, a także aktualna sytuacja świata arabskiego — stwarzają nowe warunki. Z góry więc szerzenie sceptycyzmu nie jest niczym uzasadnione. Zastanawia natomiast, jaki wpływ może wywierać proklamowana teraz unia na proces przemian w świecie arabskim. Jakie tendencje będzie umacniać, a jakie osłabiać. Ale na to pytanie przyniesie odpowiedź czas...

Z DALEKIEGO WSCHODU napłynęły ostatnio dwie ważne informacje: pierwsza zapowiada wizytę w Pekinie nowego premiera Japonii, druga przynosi potwierdzenie śmierci w ub. roku w katastrofie samolotowej Lin Piao. Pierwsza oznaczać może początek dialogu chińskiego — japońskiego, druga potwierdza, że we wrześniu minionego roku rozegrała się w Chinach kolejna runda walki o władzę.

Wiadomość o runięciu na piaski pustyni Gobi chińskiego samolotu i śmierci jego pasażerów od razu wzbudziła podejrzenie, że na jego pokładzie uciekali z Chin jacyś wyżsi dostojnicy. Dziś chińskie źródła oficjalnie potwierdziły, że jednym z pasażerów był Lin Piao, człowiek nr 2 Chin okresu po rewolucji kulturalnej, kreowany na następcę Mao, licznymi dokumentami partyjnymi. Teraz dowiadujemy się, że właśnie on organizował spisek przeciwko Mao Tse-tungowi i uzurpował sobie kierownictwo nad partią, rządem i armią. I że działo się to wszystko wówczas, gdy hermetycznie zamknięte Chiny stwarzały na zewnątrz wrażenie wyciszenia walki i jedności działania ekipy rządzącej.

Potwierdzenie tajemniczej śmierci Lin Piao z tak wielkim opóźnieniem pozwala domniemywać, że ustabilizowała się obecnie czołowa ekipa pekińska i że pozycję nr 2 zajmuje aktualnie Czou En-lai, który obecnie wywiera dominujący wpływ na politykę Chin. Jego więc z pewnością dziełem jest zapoczątkowanie procesu zbliżenia ze Stanami Zjednoczonymi i on to z pewnością zamierza w podobne stadium wprowadzić kontakty chińsko-japońskie. Wydaje się to potwierdzać kilkunastu informacja o zaproszeniu do Pekinu premiera Tanaki.

* Egipt — równy obszar terytorium Francji — liczy 35 mln ludności, Libia — dwu i półkrotnie od niego większa — zamieszkiwana jest zaledwie przez 1,7 mln ludzi. Egipt wydobywa rocznie 15 mln ton ropy naftowej, Libia prawie 10 razy więcej. Egipskie rolnictwo jest dobrze rozwinięte, w Libii do uprawy ziemi nie przystępuje się większej wagi. Egipt dysponuje nieśmiałą kadra administracyjną i techniczną, w Libanie są zaledwie dwa uniwersytety. Egipcjanie od z górą pięciu tys. lat prowadzą osiadły tryb życia, Libijczycy przeciwnie. To przecież ich nazywa się niekiedy saharyjskimi beduinami...

W. ŚLAWSKI

Pociąg długi stoi na brudnej stacji. Znużony siedzeniem między oknem a facetem z telewizorem na kolanach, wychodzę na peron.

Podchodzi do mnie młody człowiek w wojskowym uniformie. Kilka kroków od nas stoi grupa żołnierzy z girlandami białych kwiatów na szyjach. Młody człowiek objaśnia, że to rekrucja, uzupełnienie dla dywizji „Czarne pantery”, przemianowanej niedawno na „Czarne leopardy”. Mój rozmówca chciał zostać agronomem, ale musiał rzucić studia, bo nie ma na nie pieniędzy. Ale jeżeli nauczy się dobrze mówić po angielsku, to ma nadzieję, że jego sytuacja życiowa ulegnie poprawie.

Ja znów nie chciałbym znać języka angielskiego, nie słysząc krzykliwych nawołań, nie widząc natrętnej reklamy i niezliczonych ilustrowanych prospektów. Można by pomyśleć, że miasto, do którego trafiliem jest kosmicznym burdelem. Ale to przecież „wojny świat”, stolica Syjamu — Bangkok, gdzie — jak mówią — trzysta tysięcy ludzi, bezpośrednio lub pośrednio, żyje z dochodów, jakie daje prostytucja. Jest tak na pewno w małych miasteczkach, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie amerykańskich baz wojskowych.

Wewnątrzpolityczna sytuacja w kraju pogarsza się nieustannie. Syjam został wciągnięty do wojny w Indochinach. Oto co mówi o tym najbardziej wpływowi człowiek w Bangkoku, ambasador Stanów Zjednoczonych, Leonard Anger: „Patrząc na mapę świata, nie znajdziemy pan takiego drugiego miejsca, do Iranu na zachodzie, aż po Formozę i Filipiny na wschodzie. Nigdzie, poza Syjaniem, nie będziemy mieli korzystniejszych warunków na rozmieszczenie różnych obiektów, mających dla nas tak kolosalne znaczenie”...

AMERYKAŃSKI ARSENAL

Syjam jest członkiem wszystkich możliwych wojskowo-politycznych paktów w tym rejonie świata i punktem oporu USA w Południowo-Wschodniej Azji.

W ciągu minionego dziesięciolecia, w ramach „ograniczonej wojny” w Laosie, następnie, w związku z eskalacją działań wojennych w Wietnamie, USA rozmieściły w Syjanie cały szereg baz wojskowych. Są to lotniska w Takli i Korate (eskadry samolotów „F-105”), magazyny broni (wojska przeciwpancerne), rozszerzona baza lotnictwa wojskowego w Udon-tani (4 eskadry bombowców „F-46” i 2 eskadry samolotów wywiadowczych), specjalne lotnisko w Utao dla potrzeb latających fortów „B-52”, zdolnych do przenoszenia ładunków jądrowych, a także dla samolotów transportowych „KS-135” oraz grupy samolotów przechwytyjących, wojskowa baza morska w Sattachipe — największa spośród baz sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w Południowo-Wschodniej Azji, tajny obóz „sił specjalnych” w Sarit-Sena, gdzie przygotowuje się syjamskich „ochotników” do walk w Laosie, urządzenia radiolokacyjne i centra łączności w Cziangmae i U-bone, baza śmigłowców specjalnego przeznaczenia w Nakom-Panom i tak dalej.

W celu zaopatrywania tych licznych baz w niezbędny sprzęt wojenny, Amerykanie stworzyli cały system infrastruktury, omotali kraj siecią rurociągów naftowych i dróg strategicznych.

Osiemdziesiąt — dziewięćdziesiąt procent amerykańskich uderzeń bombowych w Indochinach przeprowadzają samoloty, stacjonujące w Syjanie.

Wraz z rozszerzeniem „wojny elektronicznej”, nastąpiła dalsza intensyfikacja amerykańskich baz wojskowych w Syjanie. Wykrywacze szumów, zapachów, obecności człowieka itp., rzucające z samolotów w oswojonych strefach Południowego Wietnamu, przekazują swoje sygnały do amerykańskich baz w Syjanie. Elektroniczne maszyny przetwarzają informacje i w przeciągu kilku minut określają obiekty do bombardowania. Z baz startują natychmiast samoloty, by dokonać kolejnych uderzeń.

Od pisku przekazników elektronicznych do grzmotów zrzuconych bomb — przechwalały się amerykańscy oficerowie — mijają liczone minuty.

Syjam jest nie tylko wypadową bazą agresora. Ponad dziesięć lat syjamska klika wojskowa, kierowana przez amerykańskich „doradców”, miesza się do wewnętrznych spraw sąsiednich krajów. Bierze udział w spiskach i prowokacjach sił prawicowych w Laosie.

Syjamskie oddziały wojskowe w tym kraju ramie w ramie z „tajną armią” generała Wang Pao, kreatury CIA. Bangkok wysłał do Laosu ponad dwadzieścia tysięcy swoich żołnierzy.

Gdy w 1968 roku USA zażądały od swych sojuszników żołnierzy do wojny w Wietnamie, syjamscy liderzy skierowali do tego kraju dwadzieścia tysięcy „ochotników”, wcielonych następnie do dywizji „Czarna pantera”. Za te „usługi” dostali trzydzieści milionów dolarów, stanowiska raket „Hawk”, myśliwce, samoloty transportowe i inny sprzęt wojskowy.

CZTERDZIEŚCI LAT PRZEWRÓTÓW

By lepiej poznać rolę Syjamu, jaką odgrywa w wojnie w Indochinach, należy bliżej poznać istotę ponajbardziej tutaj reżimu. W 1932 roku grupa młodych oficerów i urzędników dokonała przewrotu rządowego, kładąc kres monarchii absolutnej. Cała władza przeszła w ręce burżuazji, dążącej do ograniczonych reform społeczno-politycznych. Jednakże reformatorzy, bardzo szybko, odsunęli od władzy wojskowi.

W 1938 roku nastąpił okres rządów dyktatorskich marszałka Pibunsongrama, wysługującego się Japończykom w czasie drugiej wojny światowej. Zwycięstwo koalicji antyfaszystowskiej w 1945 roku było początkiem krótkotrwałej demokracji kraju. W 1948 roku Pibunsongram znów przechwycił ster władzy, mocno popierany przez swych niedawnych przeciwników — Amerykanów.

Nastąpiła seria spisków i puczów (od 1932 do 1960 roku było ich aż 22!), organizowanych przez rywalizujące z sobą klany (wojska lądowe, lotnictwo, flota morska, policja). W 1957 roku doszedł do władzy marszałek Sarit Tanarat, a po jego śmierci — w 1963 roku — do rządu krajem dorwała się klika wojskowych wysokiej rangi: feldmarszałek Tanom Kittikaczon, generał Prapat Czarusatien („silny człowiek” reżimu), generał policji Prasert Raczi-rawong i marszałek Tawł Czulasab.

Ostatni z kolei „przewrót” nastąpił w listopadzie ubie-

głego roku, gdy Tanom Kittikaczon, dążąc do umocnienia władzy wojska, rozpuścił rząd i parlament, powołał Narodową Radę Wykonawczą i stanął na jej czele.

Krajem rządzą ludzie, reprezentujący interesy wielkich obszarników, miejscowych przemysłowców, wojskowej i cywilnej biurokracji. Służąc interesom swojej klasy, zawsze uzależniają losy kraju od takiego lub innego imperialistycznego mocarstwa. Początkowo takim „patronem” była Wielka Brytania, później Japonia i wreszcie Stany Zjednoczone.

Syjam jest bogatym krajem. Obszerny basen rzeki Menam jest jednym z najbardziej płodnych spichrzów ryżu w Azji. Kauczuk, cyna, cenne gatunki drzew, trzcina cukrowa, wolfram, ropa naftowa, ołów, uran i inne bogactwa naturalne mogłyby się stać podstawą ekonomicznego rozwoju kraju. O industrializację nikt tu nie zabiega. Zresztą celowo.

Klasa robotnicza prawie nie istnieje — około 400 tysięcy robotników na blisko 37 milionów mieszkańców. Istnieje fabryki są bardzo małe i głównie przetwarzają surowce rolnicze (oczyszczanie ryżu, cukrownie, tytoń). Ekonomicke Syjamu kontrolują amerykańskie i japońskie monopole. Przedsiębiorstwa, poszukujące ziół ropy naftowej, zarówno wewnątrz kraju, jak i na półwyspie Zatoki Syjamskiej, znajdują się w rękach Amerykanów.

ŁAPOWNICTWO I KORUPCJA

Jeśli problem ziemi w Syjanie nie jest tak ostry, jak w innych krajach azjatyckich, ponieważ siedemdziesiąt procent chłopów posiada ziemię, to problem lichwy jest kłeską narodową. Położenie dzierżawców rozpacze: najczęściej pracują na warunkach ustnej umowy o pracę i oddają ponad połowę plonów.

W latach 1963 — 1972 odebrano chłopom około 400 tysięcy hektarów ziemi na bazy wojskowe. Kwitną — inflacja, łapownictwo, korupcja, na skalę nieprawdopodobną. Marszałek Sarit Tanarat zbił z życia ogromny majątek, do którego zresztą roszcza pretensje jego niezliczone nałożnice. Armia i policja zorganizowały i rozwinęły całą sieć handlu

opium, używając do tego celu nawet samolotów wojskowych.

Przewrót w listopadzie ubiegłego roku położył kres działalności „instytucji demokratycznych”. Prawa konstytucyjne zawieszono na kolku. Kraj żyje w warunkach permanentnego przewrotu rządowego: junta fałsuje i przetasowuje wojskowe klikki i kliczki.

Ów przewrót, dokonany przy cichej aprobacie Amerykanów, jeszcze bardziej wciąga Syjam w orbitę polityki USA w Południowo-Wschodniej Azji. Ostatnie oddziały z dywizji „Czarnych leopardów” zostały już wprowadzone wycofane z Południowego Wietnamu, ale po spotkaniu Tanome Kittikaczona z głównodowodzącym sił zbrojnych USA w Indochinach, gen. K. Abramsonem, Syjam skierował do Laosu nowe bataliony swych wojsk i wzmocnił wojskową kontrolę na rzece Mekong.

Co więcej, podróz syjamskiego feldmarszałka do Sajgonu, 14 grudnia ub. roku, i podpisanie między Bangkokiem i Phnom Penh (Kambodża) porozumienia o „współpracy przygranicznej” wskazuje na dążenie amerykańskich strategów do wymiany wojsk sajsjońskich w Kambodży na syjamskich namnierników.

W 1964 roku, mimo niesłychanego policyjnego terroru powstał w kraju Patriotyczny Front Syjamu. Walka narodowa przyjęła teraz bardzo różne formy. Oddziały partyzanckie walczą w górzystych rejonach północnego Syjamu i na południowych rubieżach kraju, u granic Malajzji. Partiości często atakują amerykańskie bazy wojskowe. Rząd bezskutecznie próbuje kontrolować strefy partyzanckie: ani ekspedycje karne, ani bombardowania lotnicze nie dają żadnych wyników. Wojskom rządowym pomagają amerykańscy „doradcy”: dwustu, czy nawet trzystu instruktorów szkoli syjamskich żołnierzy w specjalnych wojskowych obozach Lopburi i Kauczana-buri.

Front Patriotyczny prowadzi bardzo trudną walkę o niezawisłość narodową, neutralność kraju, demokrację, pokój i postęp społeczny. Front wyraża aspiracje i dążenia całego narodu Syjamu i rządząca góra, wcześniej czy później będzie się musiała z tym liczyć.

„Boeingi” dla Chin

UPI — WASZYNGTON

W ubiegłym tygodniu, po z górą dwudziestu latach braku jakichkolwiek kontaktów handlowych, amerykańskie ministerstwo handlu wydało zezwolenie eksportowe w kwocie 150 milionów dolarów na sprzedaż ChRL samolotów typu „Boeing-707”.

Jak informuje kompania „Boeing”, inicjatywa przeprowadzenia tej transakcji wyszła od kompanii. Jednakże większość obserwatorów uważa, iż przegotował ją Waszyngton, gdy H. Kissinger, a następnie prezydent Nixon, odwiedzili Pekin. Gdy kompania lotnicza „Boeing” wyszła z tą propozycją, rząd szybko ją zaaprobował, mimo pewnych obaw Pentagonu, że samoloty „Boeing-707” mogą być przekazane Hanoi. Jak widać, niewielu członków rządu podzielało pogląd władz wojskowych.

Sprzedaż samolotów „Boeing” jest szeroko komentowana, jako presja na ZSRR, ponieważ w związku z tą transakcją Amerykanie mogą być skłonni do sprzedaży Chińczykom także innego nowoczesnego sprzętu technicznego.

Co się tyczy Pekinu, to krok ten jest dla ChRL konkretnym dowodem korzyści ekonomicznych, na które mogą liczyć również w przyszłości, jeżeli nadal będą się cieszyć życzliwością Waszyngtonu. Jeśli rząd chiński zakupi samoloty „Boeing-707”, będzie to początkiem długiej zależności ChRL od Stanów Zjednoczonych w tej sferze handlu. Jasne, że kupno tych samolotów pociągnie za sobą konieczność nabywania części zamiennych, które mogą dostarczać wyłącznie USA, łącznie z dokumentacją techniczną, niezbędną przy nieustannym ulepszaniu tych aparatów.

Dalszy ciąg ze str. 1

Z tego, czego dowiedziałem się od polskich towarzyszy, oraz z obszernych materiałów, które wpłynęły do Sztabu Frontu, wypływał wniosek: przywódcy powstania dążyli do odizolowania powstańców od wszelkich kontaktów z Armią Czerwoną. Lecz czas biegnął i lud zaczął rozumieć, że go okłamują. Sytuacja w Warszawie stawała się coraz bardziej ciężka, rozpoczął się rozdźwięk wśród powstańców. I dopiero wówczas przywódcy AK zdecydowali się poprzez Londyn zwrócić się do radzieckiego dowództwa.

Szef Sztabu Generalnego, A. I. Antonow otrzymawszy deszę, załatwił formalnie łączność pomiędzy nami a powstańcami. Już na drugi dzień, 18 września, radio angielskie podało, że gen. Bór zawiadomił o koordynacji działań wspólnie ze sztabem Rokossowskiego, a także o tym, że radzieckie samoloty nieustannie zrzucają powstańcom w Warszawie broń, amunicję i żywność.

Okazuje się więc, że można było szybko połączyć się ze Sztabem 1 Frontu Białoruskiego. Wystarczyła chęć. A Bór nawiązał z nami łączność dopiero wtedy, kiedy zawiadła próba dostarczenia zaopatrzenia przez angielskie samoloty. W dzień nad Warszawą zjawili się 80 samolotów „Latająca Forteca” w asyście myśliwców „Mustang”. Przechodzili grupami, na wysokości 4.500 metrów i zrzucali ładunki. Oczywiście, przy takiej wysokości ładunki rozpraszały się i padały niezgodnie z przeznaczeniem. Niemieckie działa przeciwlotnicze strąciły dwa samoloty. Po tym wypadku Anglicy nie wznawiali swoich prób.

Pisząc o tym, trochę wybiegłem naprzód. Do zdarzeń w Warszawie jeszcze powrócę, a teraz powróćmy do walk, jakie toczyły nasze wojska.

Wymacawszy nasze słabe miejsce — przerwę pomiędzy Pragą a Siedlcami — przeciwnik zdecydował stamtąd zadać cios we flankę i tył wojsk forsujących Wisłę bardziej na południe od polskiej stolicy. Do tego celu skoncentrował on na wschodnim brzegu w rejonie Pragi kilka dywizji: 4 pancerną, 1 Pancerną „Hermann Göring”, 19 Pancerną i 78 Dywizję Piechoty. 2 sierpnia Niemcy dokonali kontruderzenia, lecz spotkali się na przedpolu Pragi ze zbliżającymi się tam z południa jednostkami naszej 2 Armii Pancernej. Rozgorzał zacięty, spotkaniowy bój. Wojska niemieckie znalazły się w lepszej sytuacji, bowiem miały oparcie o silne warszawskie umocnienia.

Wydawało się, że w tej sytuacji powstańcy mogliby postarać się zdobyć mosty na Wiśle i zająć Pragę zadając przeciwnikowi cios z tyłu. Tym samym pomogliby wojskom 2 Armii Pancernej i kto wie jak potoczyłyby się wówczas zdarzenia. Lecz to nie wchodziło w rachubę polskiego rządu w Londynie, którego trójka przedstawicieli znajdowała się w Warszawie, ani w rachubę generałów Bora i Montera. Zrobili swoją czarną robotę i odeszli, a rozliczał się za wszystko sprowokowany przez nich naród.

2 Armia Pancerna, którą po kontuzji Bogdanowa dowodził szef sztabu Radziejewski, zdolny, energiczny generał, ciągle odpierała ataki wroga z rejonu Pragi, współdziałając z 47 Armią wyzwalającą Siedlce i odrzucającą nieprzyjaciela na północny zachód. Na tym odcinku frontu zaistniała bardzo skomplikowana sytuacja: wojska dwóch armii, rozwinięty się frontem na północ, wyciągnęły się cienką nitką, rzuciwszy do bitwy wszystkie swoje rezerwy. Nic nie zostało także w rezerwie Frontu. Jedyną wyjątkowo — to przyspieszyć przesunięcie od Brześcia 70 Armii i jak najszybciej wyciągnąć z lasów Puszczy Białowieskiej armie generałów Batowa i Romanienko.

Nasz sąsiad z prawej — 2 Front Białoruski — trochę został w tyle, a 65 Armia nie napotykała specjalnego oporu ze strony nieprzyjaciela, szybko pokonała leśne masywy Puszczy Białowieskiej, poszła do przodu i tu została zatakowana z dwu stron przez dwie niemieckie dywizje pancerne. Niemcy przedarli się przez środek armii, rozdzielili ją na kilka grup, pozbawiając dowódców na jakiś czas łączności z większością związków taktycznych. Był moment, w którym nasze oddziały przemieszały się z niemieckimi i trudno było zorientować się gdzie swoi, gdzie nieprzyjaciel. Bój miał ogniskowy charakter.

Przypomnieli mi się walki z 1914 r. w rejonie Łódź — Brzeziny. Wówczas powstała podobna sytuacja. Okrążony przez rosyjskie wojska niemiecki korpus, wyrwując się z pierścienia, okrążył rosyjskie jednostki. Wszystko się przemieszało... Byłem wówczas w tej kaszy — służyłem wtedy w 5 Karpolskim Pułku Dragonów, w 5 Kawaleryjskiej Dywizji.

Tak więc, jednostki i pododdziały 65 Armii wykały ogromną wytrzymałość w tak skomplikowanej sytuacji. Zajmowały one szybko obronę okrężną, odpierały ataki wroga, dążyły do połączenia się. P. I. Batow wspólnie ze sztabem podjęli odpowiedzialne decyzje. Front wysłał im do pomocy korpus strzelecki i brygadę pancerną. Sytuacja została opanowana, przeciwnik poniósłszy ogromne straty ledwo wyrwał się z tej zawieruchy. Lecz Paweł Iwanowicz przeżył ciężkie chwile.

W tym samym czasie przesunawszy się jeszcze bardziej na zachód 4 Gwardyjski Korpus Kawaleryjski został przyciśnięty do Bugu na północny zachód od Brześcia i okrążony. Akurat w tym miejscu znajdował się teren umocnień, toteż gen. Plijew wykorzystał to osiadając w nim niby gospodarz. Wszystkie ataki korpus odparował lekko. Amunicję dostarczano tam w nocy, samolotami Po-2. Ze zbliżeniem się 70 i 65 Armii korpus kawaleryjski ruszył w pogoń za uciekającym przeciwnikiem, powodując wiele strat swoimi śmiałymi i nagłymi uderzeniami.

Sądząc po sposobie działań nieprzyjaciela, czuło się, że pojawiwszy nieuniknioną klęskę na linii Bugu oraz na odcinku warszawskim, będzie usiłował ściągnąć jak największe siły na linię Narwi. Świadczyły o tym dane dostarczone przez nasz wywiad oraz zeznania wziętych do niewoli jeńców. Na linii Narwi w przyspieszonym tempie trwały prace obronne.

Trzeba było zniweczyć plany wrogiego dowództwa. Wojskom 48, 65 i 70 Armii wydano rozkaz wyjść szybko ku Narwi. Polecono stworzyć silne, ruchliwe oddziały ze wszystkich rodzajów wojsk, które winny były okrążyć punkty oporu, zdobywać przyczółki na zachodnim brzegu Narwi i utrzymywać je do nadejścia głównych sił.

Najbardziej pomyślnie uporała się z tym zadaniem 65 Armia. Doński Korpus Pancerny M. F. Panowa współdziałając z dywizjami piechoty, już 5 września sforsował Narwę w rejonie Pułtuska oraz w kierunku na południe. Rozpoczęły się ciężkie walki na zachodnim brzegu. Nieprzyjaciel rzucał do boju wciąż nowe i nowe jednostki, chcąc zrzucić nasze wojska do rzeki, lecz dowódca armii robił wszystko, by nie tylko utrzymać, lecz i rozszerzyć przyczółek tak potrzebny nam dla mającego nastąpić natarcia.

Wyjście 65 Armii nad Narwę przyspieszyło przesunięcie się 70 Armii nacierającej w ogólnym kierunku na Sokół, Radzymiń i Modlin (na północ od Warszawy), oraz 48 Armii, która w końcu także sforsowała Narwę w rejonie Różan i też zdobyła przyczółek.

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

WSPOMNIENIA MARSZAŁKA

Pierwsza połowa września charakteryzowała się wielkimi, kilkudniowymi bitwami. Nie ucichały one nawet w nocy. Nieprzyjaciel postanowił za wszelką cenę zlikwidować nasze przyczółki na Wiśle i Narwi. W pierwszym rzędzie, jak zwykle, wróg rzucił swą siłę uderzeniową — czołgi. Używał ich w wielkich ilościach nad Wisłą przeciwko wojskom Czujkowa, oraz nad Narwią przeciw wojskom Batowa. Lecz to nie pomogło. Wszystkie ataki wroga zostały odparte. Straciwszy setki czołgów, samobieżnych dział i dziesiątki tysięcy żołnierzy, dowództwo niemieckie było zmuszone przyznać się do porażki i przejść do obrony. W tych bojach nasza słynna 16 Flota Powietrzna od początku do końca panowała w powietrzu. Tylko pojedyncze samoloty niemieckie mogły dokonywać nalotów, jak się to mówi, „za węgła”.

Przełamanie linii Wisła — Narwa otwierało dla nas bezpośrednią drogę do granic Niemiec. Oto dlaczego na miarę zebranych sił i środków dowództwo niemieckie nawiązało uderzenia na nasze przyczółki i z uporem broniło swoich pozycji na prawym brzegu Wisły, na wschód od Warszawy, przechodząc od czasu do czasu do kontrataku. Na tym odcinku powstała dla nas niepomysłna sytuacja. Na przedpolu Warszawy skoncentrowało się silne zgromowienie w składzie: 5 Dywizja Pancerna SS „Wiking”, 3 Pancerna SS „Trupia Czaszka”, 19 Pancerna oraz dwie dywizje piechoty. Nie mogliśmy dopuścić, by to zgromowienie nam zagrażało. Kiedy więc zbliżyła się 70 Armia, zdecydowano spróbować rozbić wojska nieprzyjaciela okupujące przedpole na wschód od Warszawy i zająć przedmieście Praga. Dla tej operacji zostały ścignięte 47 i 70 Armie, część 1 Armii Wojska Polskiego, 16 Flota Powietrzna, a ze stanu zasilenia wszystko, co dało się wzięć z innych odcinków frontu.

11 września rozpoczęła się bitwa. Do 14 września nasze wojska rozgromiły nieprzyjaciela i zajęły Pragę. Mężnie walczyli piechurzy, czołgiści, artylerzyści, saperzy, piloci naszych oddziałów, a wspólnie z nimi — sławni żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego. Wielką pomoc żołniercom w czasie walk w samym mieście okazali mieszkańcy Pragi, a wielu z nich straciło życie w tych bitwach.

Oto był najbardziej dogodny moment dla wywołania powstania w polskiej stolicy! Gdyby bowiem urzeczywistnił się wspólne uderzenie Frontu ze wschodu, a powstańców z Warszawy (oprowadzenie mostów) można byłoby w takim momencie liczyć na wyzwolenie Warszawy i utrzymanie

jej w rękach. Na więcej, nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach, wojska Frontu nie były zdolne.

Oczywiście z nieprzyjaciela Pragę, nasze armie podszły blisko do wschodniego brzegu Wisły. Okazało się, że wszystkie mosty, łączące przedmieście z Warszawą, były zniszczone.

W stolicy ciągle jeszcze toczyły się walki. Trwały walki na północ od Pragi, w kierunku Modlina. Trochę uciszyło się na przyczółkach Narwi, lecz nasiliły się potyczki na zachodnim brzegu Wisły. Szczególnie ciężko było wojskom trzymającym przyczółek magnuszewski. Muszę przyznać, że utrzymać go udało się nam dzięki temu, że obroną dowodził dowódca 8 Gwardyjskiej Armii Wasilij Iwanowicz Czujkow. Przez cały czas przebywał tam, w samym piekle. Oczywiście, dowództwo Frontu robiło wszystko, by w odpowiednim czasie pośpieszyć z pomocą walczącym, używając bojowych środków naziemnych i powietrznych.

Rozgrywająca się w Warszawie tragedia nie dawała spokoju. Świadomość niemożności przedsięwzięcia większej operacji w celu wyręczenia powstańców, była męcząca.

W tym czasie rozmawiał ze mną przez We-Cze — Stalin. Zameldowałem o sytuacji na froncie oraz o wszystkim co się tyczyło Warszawy. Stalin zapytał, czy wojska Frontu są w stanie przeprowadzić natychmiast operację wyzwolającą Warszawę. Otrzymałem ode mnie odmowną odpowiedź, poprosił, aby okazały powstańcom wszelką pomoc, by użyć ich doli. Moje propozycje na ten temat całkowicie zaakceptował.

Jak wspominałem, już od 13 września rozpoczęły się dla powstańców zrzuć broni, amunicji, żywności i leków. Dokonywały tego nasze nocne bombowce Po-2, rzucając ładunki z małych wysokości w miejsca wskazane przez powstańców. Od 13 września do 1 października 1944 r. flota powietrzna dokonała 4.821 lotów, w tym z ładunkiem dla wojsk powstańczych — 2.535 lotów. Nasze samoloty, w myśl danych przekazanych przez powstańców, osłaniały ich z powietrza, bombardowały i szturmowały niemieckie pozycje w mieście.

Artyleria przeciwlotnicza Frontu zapewniła bezpieczeństwo wojskom powstańczym przed nieprzyjacielskimi samolotami, a artyleria naziemna — tłumila baterie artyleryjskie i miotacze min, usiłujące ostrzeliwać walczących. Dla łączności i korektury ognia zostali zrzućeni na spadochronach nasi oficerowie. Udało nam się osiągnąć to, że niemieckie samoloty przestały pojawiać się nad miejscami postoju wojsk powstańczych. Polscy towarzysze, którym udało się dotrzeć do nas z Warszawy, z entuzjazmem mówili o efektach działań naszych pilotów i artylerzystów.

Różne organizacje powstańcze z ochotą i radością spotykały lądujących na spadochronach naszych oficerów łączności i oficerów korygujących. Wszyscy Polacy — patriotów jednakże uprzedzali ich, że AK-owcy nie chcą mieć z nami nic wspólnego, dowództwo AK zachowuje się podejrzanie, rozpala wrogą agitację przeciwko Rządowi Polskiemu powstałemu w Lublinie, przeciwko 1 Armii Wojska Polskiego. Zastanawiało, że Bór mimo wszystko nie usiłował połączyć się bezpośrednio ze sztabem Frontu, chociaż Sztab Generalny przekazał mu kod. Było jasne, że ci politykerzy pójdą na całego, byleby tylko nie na współdziałanie z nami. Wkrótce się to potwierdziło.

Rozszerzając zakres pomocy powstańcom, zdecydowaliśmy się wysadzić silny desant na drugi brzeg, warszawski, wykorzystując środki pływające. Organizacją operacji zajął się sztab 1 Armii WP. Czas i miejsce desantu, plan za zabezpieczenia artyleryjskiego i powietrznego, wspólne działania z powstańcami — wszystko to zostało wcześniej uzgodnione z dowództwem powstania.

16 września pododdziały desantowe 1 Armii WP ruszyły przez Wisłę. Lądowały na odcinkach brzegu, które znajdowały się w rękach oddziałów powstańczych. Na to liczyliśmy. I nagle okazało się, że na tych odcinkach są hitlerowcy!

Operacja przebiegała ciężko. Pierwszy rzut desantu z trudem uchwycił się brzegu. Trzeba było rzucać do boju coraz to nowe siły. Rosły straty. A przywódcy powstania nie tylko nie okazali żadnej pomocy desantowi, lecz nawet nie usiłowali nawiązać z nami łączności.

W takich warunkach utrzymać się na zachodnim brzegu Wisły było niemożliwością. Zdecydowałem się na przerwaniu operacji. Pomogliśmy desantowi powrócić na nasz brzeg. Do 23 września te wszystkie pododdziały trzech pułków piechoty 1 Armii WP połączyły się ze swoimi jednostkami.

Decydując się na bohaterski desant polscy żołnierze poświęcali się świadomie, dążąc do wyręczenia w walkach swoich rodaków. Lecz ich zdradził ci, dla których sprawy władzy były droższe od spraw ojczyzny. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że na rozkaz Bora-Komorowskiego i Montera jednostki i oddziały AK — tuż przed naszym desantem zostały wycofane z przybrzeżnych terenów w głąb miasta. Ich miejsce zajęły jednostki hitlerowskie. Ucierpieli przy tym znajdujące się tu pododdziały Armii Ludowej: AK-owcy nie uprzedzili ich o tym, że opuszczają tereny przybrzeżne.

Od tego momentu dowództwo AK rozpoczęło przygotowania do kapitulacji, o czym zachował się w archiwum dość bogaty materiał. Nasze propozycje pomocy dla ewakuujących się z Warszawy na wschodni brzeg nie zostały wzięte pod uwagę. Już po kapitulacji jedynie niewielu powstańcom udało się przedostać na naszą stronę Wisły.

Takie oto, tragiczne, zakończenie miało warszawskie powstanie.

Przełożył: EUGENIUSZ IWANICKI

KONRAD FREIDLICH

Perła
bez
blasku

Łodzi nie można sobie wyobrazić bez Piotrkowskiej. Toteż wbrew grymasom zdegustowanych historyków sztuki łodzianie ukochali główną ulicę swojego miasta. „Brzydkiego miasta”, jak powszechnie nazywali Łódź przyjeźdźni. Ale kryteria piękna zmieniają się wraz z epokami, toteż ślepa miłość łodzian do Piotrkowskiej doznała nieoczekiwanej nobilitacji. Wydrwiwane bezlitośnie przez znawców secesja i eklektyzm zostały w latach sześćdziesiątych zrehabilitowane. Okazało się nagle, przyznawali to już wszyscy, że Piotrkowska stanowi jedyny w swoim rodzaju zespół architektoniczny, że jest intrygująca i ciekawa, że posiada fragmenty wyjątkowej piękności. Prawdę powiedziawszy były to już zachwyty nad przeszłością. Piotrkowska w tym czasie straszyla

strupami zluszczonej się farby olejnej, szczerbami odłupanych gzymsów, kikutami zwalonych balkonów, czeluściami poobijanych bram. Wymagała pomocy. Pierwszy krok uczynił nowo mianowany konserwator zabytków. Oto w Dzienniku Urzędowym m. Łodzi nr 1 z ubiegłego roku ukazało się zarządzenie, mocą którego ulica Piotrkowska od placu Wolności aż po ulicę Tuwima uznana została za zespół zabytkowy pod ochroną prawa. Jednocześnie rozpoczęto prace nad programem modernizacji i rekonstrukcji Pietrny; programem, który uzyskał poparcie władz i uznanie specjalistów, bowiem łączył w sobie pietetyzm dla przeszłości ze współczesnymi wymogami cywilizacyjnymi. A jednocześnie cechował go realizm. Nie było to przyśłowiove porywanie się z motyką

na słońce. Rewaloryzacja Piotrkowskiej przebiegać miała etapami. Program precyzuje to jasno: początek przeobrażenia ulicy stanowi dokumentacja kolorystyczna wszystkich elewacji, rekonstrukcja brakującego detalu architektonicznego oraz pełna rekonstrukcja osiemnastu zabytkowych budynków. Dalsze stadium rewaloryzacji to modernizacja parterów, które obecnie stanowią mozaikę nieprześlanych decyzji, aktów najpospolitszego wandalizmu i upiększeń wolaających o pomstę do nieba. Wreszcie, po uporządkowaniu parterów, miał przyjąć czas przebudowy oficyn i rugowania niepożądanych użytkowników z obiektów zabytkowych, aby na koniec Piotrkowska stała się jedną z centrów handlowych i kulturalnych o uporządkowanej architek-

turze, związanym harmonijnie z nową dzielnicą śródmiejską. Przepomnijmy: aktualnie realizowany jest pierwszy etap programu rekonstrukcji. W styczniu bieżącego roku przedsiębiorstwa budowlane otrzymały z półrocznym opóźnieniem dokumentację prac rewaloryzacyjnych, a w maju zamknięto ruch kołowy na Piotrkowskiej i przystąpiono na całej jej długości do wznoszenia rusztowań. Roboty cechował rozmach, ale z tempem bywało rozmaicie. Reporter „Dziennika Łódzkiego” donosił w numerze z 23 maja: „Wczoraj między godz. 16-17 odbył się błyskawiczny rajd na ul. Piotrkowskiej (odcinek od ul. A. Struga — Tuwima do pl. Wol-

Dalszy ciąg na str. 4

Łowicz, Ulica Sienkiewicza nr 19., Dworek podmiejski... Zielona aleja drzew...

To po prostu miejsce akcji, w którym rozgrywa się dramat, rzekłbym inwestycyjny. Malowniczo tu i staroświecko. W progu wita mnie sympatyczna staruszka, która dobrze pamięta wiek dziewiętnasty. Krętymi korytarzami prowadzi mnie na pokój konspiracyjny. Tam już czeka niewiasta z wyglądu o 20 lat młodsza, a w rzeczywistości o 10 lat starsza, gospodyni właścicielka tego olbrzymiego domostwa. Siwiuteńka, gościnna, z rzędu tych starszych pań, co to częściej malinowymi konfiturami. Świetnie być wnukiem takiej babcy.

Cicho... szaaa... czekamy. Wici zostały rozesłane i za chwilę zjedzą się w komplecie miłośniczki Łowicza, one już akuratnie wtajemniczą mnie w ważne sprawy tego miasta. Ostatnio coraz częściej trafia ono na łamy prasy. „Łowickie zapasy”, „SOS dla Łowicza”, „Ocalenie” — oto jak brzmią tytuły artykułów. Aleksander Małachowski w świętym oburzeniu apeluje: „...próbujmy rozwikłać zagadkę Łowicza. Niech się choć raz okaże kto jest winien? A może nie ma winnych?” („Kultura” 21. VI. 1972).

Może. Za chwilę zjawiają się tajne emisariuszki miejscowej opinii publicznej. Ważne sprawy omawiamy przy okrągłym stole i zamkniętych drzwiach. Poczuję się przez moment jak spiskowicz... i zdradca. Zaczęły panie nie brały w ogóle pod uwagę, że mogą być zupełnie odmiennego od nich zdania. Inna sprawa, że ich przeciwnicy również potraktowali mnie jako rzeczniczkę swoich interesów, a zwłaszcza gustów, obdarzając mnie nie zasłużonym, ale nader krepującym zaufaniem. Całe szczęście, że jestem dyskretny, nie nikomu nie powiem, tylko napiszę i przeczytają to wyłącznie czytelnicy „Odgłosów”.

O co chodzi? Otóż buduje się obecnie nowe „Centrum” Łowicza. I tak się jakoś fatalnie złożyło, że lokalizacja pawilonu, w którym ma się mieścić administracja tego nowego osiedla wypadła właśnie w miejscu, gdzie się w tej chwili znajdujemy. To znaczy tam, gdzie stoi zabytkowy dworek pani Izabeli Przybyłowicz. Budynek związany jest ściśle z historią Łowicza. Tak przynajmniej twierdzi właścicielka. Tutaj, w 1905 r. zbierała się i spiskowała młodzież szkolna. Przygotowywano strajk. Jak się te czasy zmieniają. Przedtem spiskowała młodzież, a teraz staruszki. Starsze damy spiskują przeciwko buldożerom i dźwigom grasującym za oknem. Spiskują w obronie zabytków i przyrody. Pewnej nocy przybyły do drzewa stojącego na terenie placu budowy tabliczki z napisem: „Pomnik przyrody”. Dzięki temu podstępowi uratowały wspaniały stary dąb. Potem przez znajomości udało się im rzeczywiście wpisać ów dąb na listę pomników przyrody. Ale tak się rozzuchwiali, że teraz usiłują drugie wspaniałe drzewo w ten sam nielegalny sposób

KAROL BADZIAK

SPISEK DAMSKIEJ MAFII

uchronić przed ścięciem. Stare recydywistki.

Pokój, w którym odbyła się narada, zwal się salo- nem, lustra w złoczonej oprawie — zwierciadłami, a ze wszystkich ścian spoglądali na nas antenaci właścicielki oraz Naczelnik Kościuszko i Książę Józef, a na głównej ścianie olbrzymich rozmiarów portret Niebieskiej Damy. Wymiana poglądów i to raczej obustronnie korzystna odbywała się w atmosferze przyjaźni, zaufania i pełnego zrozumienia. Chodziło o to, żeby mnie zmobilizować do obrony dworku przed zakusami i zaangażować przeciwko budowniczemu nowego osiedla, składającego się z dziewięciu długich jak bezenna noc dewotki bloków mieszkalnych. Te bloki-giganty sprzeczne są z charakterem zabudowy miasteczka. Nie da się ukryć więc, że zeszpeca Łowicz na długie, długie lata. Województwo nasze naprawdę tak mało ma ładnych miast i miasteczek, że serce krwawi lokalnego patriotę jak widzi, że wandale szpeca jedno z najbardziej uroczych miast tej ziemi. Rzeczywiście, poza Łowiczem, Piotrkowem i Sieradzem to same u nas koszarne Kutna, Tomaszów, i Zduńskie Wole. Trudno też rywalizować z brzydota Ozorkowa, Pabianie czy Bełchatów. Po prostu brzydka jest architektura i urbanistyka naszej pięknej Ziemi Łódzkiej. Dominuje smutek i nędza wiejskiej zabudowy. Także nowe mrowiane chałupy na wsi budowane są na kształt stodoł. Według Aleksandra

Małachowskiego piękno naszych prowincjonalnych miast dewastują dziedziczy architekci i pozbawione elementarnych pojęć kulturalnych lokalne władze. Mocno to oskarżenie zostało sformułowane. Aż szkoda, że jest prawdziwe.

Dałem się tedy namówić, podjąć i zainspirować pocziwym niewiastom z Łowicza, które w obronie urody i przyrody swego miasta zeszyli niemalże do

szłości, każdy kat, każdy przedmiot w tym domu łączy się z wspomnieniem najbliższych. Jest dla nich czymś droższym.

Pełna ufności i wiary w moje możliwości starsza kobieta zwierza mi się ze wszystkich swoich trosk, obaw, niepokojów. Już to samo zobowiązuje do przejścia na jej stronę. Błaga, żeby trochę zaczekało, gotowa jest podpisać zobowiązanie, że nie będzie już długo żyła. Jest to wyzwanie przerażające. Starsza Dama skrzętnie gromadzi swoje racje, nawet fakt, że kręcono tu kilka scen do filmu „Chłopi” też jest argumentem do pozostawienia w spokoju właścicielki i jej domu. W specjalnym dzienniku notuje wszystkie ważniejsze wydarzenia dotyczące tej sprawy. Między innymi czytam: „10 listopada, środa. Wizyta Pana Przewodniczącego MRN z Małżonką”. No to już jest taki świat — oby, odchodzący lecz rozczulający. Ma w sobie pewien urok i wcale się nie dziwię, że pani Izabela Przybyłowicz znajduje wszędzie tak dużo obrońców. Tym bardziej, że władze lokalne rozmawiają z właścicielką tonem wyjątkowo nieprzyjemnym, oschłym, biurokratycznym językiem.

„Zawiadamia się, że w roku bieżącym nastąpi dalszy wykup całej nieruchomości, położonej w Łowiczu przy ul. Sienkiewicza 19”.

Albo: „Budynek frontowy nie figuruje w rejestrze zabytków...” — przeto Prezydium PRN nie może zmienić ustalonych i zatwierdzonych planów”.

Oczywiście, urzędnik, który to pisał wie doskonale, że budynek niedawno został podniesiony do rangi zabytku. Ale dla urzędnika jest najważniejsze, iż nie zostało to ujęte w rejestrze. Gdyby budynek znalazł się w rejestrze wszystko byłoby w porządku, mogłoby go wcale nie być w rzeczywistości.

Z tajnego posiedzenia spiskujących Dam udało mi się wprost do Gospodarza miasta. Gospodarz w obecności Sekretarza i zbierających się na posiedzenie członków Prezydium orzekł co następuje: „My przez jeden stary dom nie możemy zatrzymać budowy całego osiedla. Odwołaliśmy się od decyzji Konserwatora Wojewódzkiego i będziemy się starali sprawę przeprowadzić po naszej myśli. Takich zabytkowych budynków jest w naszym mieście bardzo dużo. Zresztą plan zabudowy zatwierdzony w 1968 roku został uzgodniony z konserwatorem już dawno. Zmiana decyzji konserwatora paraliżuje nam realizację planów. Łowicz potrzebuje nowych mieszkań. W Spółdzielni Mieszkaniowej zapisanych jest 1500 członków, w kwatunku czeka 300 rodzin.

— Może dałoby się zaprojektować nowe osiedle? — Nie mamy czasu ani pieniędzy na zmiany. Gdyby osiedle zbudowano pięć

lat temu nie byłoby w ogóle kwestii. Odrzucając obecny plan miasta znów musiałoby czekać kilka lat na nową koncepcję, a miasto to zniecierpliwieni ludzie.

Wynika z tych słów, że gospodarze Łowicza są nieprzejednani i zdecydowani walczyć do ostatka. Są przeciwni, że Starsza Dama i kilkunastu innych właścicieli domków z ogródkami przeszkadzają w rozsądnym dziele przebudowy miasta. Z kolei miłośnicy miasta twierdzą, że obecny projekt osiedla „Centrum” zeszpeca Łowicz. Warto nadmienić, że autorem projektu jest architekt Jerzy Pieczyński. Projekt przewiduje wzniesienie w Łowiczu dziewięciu długich bloków ustawionych metodą grzebieniową.

Problem jest niebagatelny, dotyczy prawie wszystkich naszych miast. I to nie tylko prowincjonalnych. Do tej pory budowało się w całej Polsce osiedla na obrzeżach. Więc kolizji nie było. Wejście nowych inwestycji do dzielnic śródmiejskich powoduje automatycznie szereg konfliktów, sporów, polemik i odwołań. W tej chwili można mówić już o wojnie między miłośnikami zabytków a organami planowania przestrzennego, przecież przy budowie łódzkiego Centrum też ten problem dał znać o sobie. Dopóki nie mieliśmy planów przebudowy śródmieścia nie było słyhać w Łodzi o żadnych zabytkach. A tym bardziej o miłośnikach tych zabytków. Ostatnio wszyscy bardzo się uaktywnili. Konserwatorzy w polskich miastach stali się postaciami centralnymi. Co prawda niektórzy działacze municypalni są zdania, że jak trzeba będzie coś zabytkowego wyburzyć, to się na ten czas konserwator zwolni z pracy i część. Prerogatywy konserwatora są rzeczywiście dość mizerne, jako że pobiera on pieniądze z tej samej kasy co planiści. Niemniej ranga tej funkcji poważnie wzrosła.

Wojewódzki Konserwator p. Pracuta, do którego zgłosiłem się o wyjaśnienie sprawy łowickiego dworku wcale się nie uradował na mój widok. Najchętniej to bym w ogóle nie chciał na ten temat zabierać głosu — przyznał szczerze. Widocznie naciski, jakim jest poddawany, zrobiły swoje. Nie dziwnego, wywierają na niego nacisk dwie szkoły myślenia. Oby to były tylko szkoły. Obie szkoły obok racji posługują się również insynuacjami. Pragnę zaznaczyć, że wszystkie insynuacje jakich się nasłuchałem dla dobra sprawy i reportażu pozwoliłem sobie wykreślić.

Architekt wojewódzki decyduje o zaszerogowaniu dworku podmiejskiego w Łowiczu do zabytków III kategorii podjął w oparciu o opinie rzeczoznawców i na polecenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Opinia rzeczoznawcy z Politechniki Warszawskiej inż. arch.

Władysława Rzechowskiego jest prawie entuzjastyczna. Według niego „ściany dworku są obustronnie otynkowane przy czym tynki zarówno wewnątrz jak i zewnątrz są utrzymane w dobrym stanie. Wokół dworku rosną grupy przepięknych, starych drzew, co znajduje bezpośrednie powiązanie z drzewostanem Alei Sienkiewicza, tworząc w ten sposób ładną, zieloną oprawę dworku. Architektura samego budynku jest skromna, ale równocześnie pełna jakiegoś uroku, jaki tylko prostota może wywrzeć na oglądającym. Ta prostota architektoniczna świadczyć może o wysokiej kulturze budowniczego dworku i jakże charakterystyczna jest dla tego typu budynków, obecnie nielicznych już świadków dawnego życia”.

Najciekawsze w tym wszystkim, że uczestnicy tego istniejącego sporu twierdzą, że kierują się szlachetnymi intencjami. Architekci zaś występujący w tym łowickim spektaklu nie wyglądają mi na dzikich barbarzyńców, wręcz przeciwnie, robią wrażenie ludzi oświeconych i kulturalnych. Zaś koszarowce projektują bo muszą, jesteśmy na etapie typizacji — twierdzą.

Osobiście nie widzę tu żadnego dylematu — stary dworek czy nowe osiedle. Przy dobrych chęciach stary dworek może się ostać, nowe osiedle można zbudować. Chodzi o to, żeby nie demonizować planu, nie traktować go jak absolutu. W ogóle nie ma w Łowiczu problemu lokalizacji „Centrum”, jest problem charakteru zabudowy. Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna to „Centrum” zaprojektowała, władze miejscowe je zaakceptowały, i teraz nikt nie chce przyznać się do błędu. Honor nie pozwala. Chociaż nie, kierownik WPU mgr Krzysztof Karski oświadczył, że budynki faktycznie mogłyby być o połowę krótsze. Nie jest również przeciwnikiem przeprojektowywania. Podobna mi się takie stanowisko.

Mamy za mało ładnych miast w województwie, żeby bez sprzeciwu godzić się na niszczenie resztek ich naturalnego, zabytkowego piękna. Łowicz odwiedza rocznie kilkaset tysięcy turystów, w tym 30 tys. turystów zagranicznych. Powtarzam, nie ma w Łowiczu żadnego innego problemu jak problem urażonych ambicji.

Nie dość, że popełniono jeden błąd, zatwierdzając dość niefortunny projekt, popełnia się obecnie drugi błąd, upierając się przy tym. Smutne, że ludzie, którzy protestują przeciwko oszpecceniu miasta muszą to czynić potajemnie, anonimowo. Oczywiście, nowe mieszkania w Łowiczu są bardzo potrzebne. Lecz nie muszą to być zaraz koszary. Edward Gierek rzucił hasło budowy drugiej Polski, ale chodzi o to, żeby ta druga Polska była ładna, ładniejsza.

Dalszy ciąg ze str. 3

ności) aby sprawdzić jak przy pięknej, słonecznej pogodzie przebiegają roboty elewacyjne. Na całym tym długim odcinku głównej ulicy miasta zastaliśmy aż... 5 (słownie: pięciu) robotników!”

„Głos Robotniczy” zamieszcza w tym czasie zdjęcia z wymownymi podpisami: „Rusztowań wiele — pracowników „na lekarstwo”...”, „Nie wszystkim robota pali się w rękę”.

Pięciu robotników to dokładnie i procent tego, co dyrekcja Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego obiecywała na konferencji prasowej. Ale krytyczne głosy spotkały się z natychmiastową ripostą naczelnego inżyniera Zjednoczenia, który 26 maja odpowiedział na zarzuty w „Głosie Robotniczym”;

„Odnosnie uruchomienia dwóch pełnych zmian, musimy stwierdzić, iż jest to rzeczą niemożliwą, ponieważ liczba rzemieślników potrzebnych do tego rodzaju przedsięwzięcia byłaby nieosiągalna we wszystkich jednostkach budowlanych m. Łodzi. Z tych przyczyn ZBK podjęło szereg przedsięwzięć organizacyjnych, które dają szansę wykonania zaplanowanych robót na ul. Piotrkowskiej bez uszczerbku dla innych zadań planowych przy pełnym wykorzystaniu istniejącego potencjału produkcyjnego.

Przedstawiając powyższe, zwracamy się z uprzejmą prośbą o zaniechanie napastliwych artykułów, które wprowadzają tylko niepotrzebne nikomu zdenerwowanie...”

Zapowiedziane przez naczelnego inżyniera Zjednoczenia przedsięwzięcia organizacyjne musiały być

skuteczne, skoro 18 lipca można było zdjąć rusztowania i pokazać łodzianom odświeżoną Piotrkowską. Łodzianom i reszcie kraju, bo następnego dnia zaczynał się Złoty i główną ulicą miasta przemarszować miała zaproszona młodzież. Zdjęcie rusztowań zaskoczyło chyba najbardziej krytycznie usposobionych dziennikarzy. „Express Ilustrowany” skwitował ten moment entuzjastycznym artykułem „Pochwały dla załóg modernizujących ulicę Piotrkowską”, w podobny ton uderzył „Dziennik Łódzki”, który w publikacji „Nasza najpiękniejsza” głosił: „Dziś, gdy zakończono już roboty elewacyjne I etapu, przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego, a więc i Zjednoczenie, któremu podlegają, mogą mówić o sukcesie. I mówią. Przypomina się nawet termin bohaterki: „Nasze Czechowice”.

Nietrudno zrozumieć ten entuzjazm. Oto pięć przedsiębiorstw

ZBK, w niespełna 3 miesiące i przy nieznanym zaangażowaniu siły roboczej wykonało swoje zadania z nadwyżką. Zamiast planowanych 68 elewacji na ul. Piotrkowskiej w pierwszym etapie wykonano ich aż 81. A przy tym, donosił „Dziennik Łódzki”, „jak zapewnijają przedstawiciele dyrekcji Zjednoczenia, wykonano dobrze, w sposób gwarantujący, iż co najmniej przez 5 lat a może nawet 9, nie tym elewacjom nie grozi, poza — oczywiście przy brudzeniu”.

Ale istnieje inna, bardziej realna groźba. Piotrkowska w związku ze Złotem została błyskawicznie odświeżona, to prawda, lecz odświeżenie tylko częściowo wiąże się z programem rekonstrukcji ulicy, jak zakładały plany. Rekonstrukcja bowiem, to przywrócenie do stanu pierwotnego, odtworze-

Perła bez blasku



Nazywają ich różnie: studentami, doktorami, medykami. I zawsze dodają: „NASI”.

Są z nimi zżyci od dawna. Od czasu, kiedy cztery lata temu po raz pierwszy studentki obozu Akademii Medycznej wkroczyły na Ziemię Kielecką i zorganizowały tu letnie ośrodki leczenia specjalistycznego. Co roku przyjeżdżają inne składy osobowe, zmieniają się kierownicy gabinetów i studenci, zmieniają się miejscowości, w których blisko 100-osobowy zespół zajmuje szkoły, przekształca je w ośrodki zdrowia, rozbija namioty, wywieża sztyl uczeni i emblematy organizacji młodzieżowych: ZSP, ZMS, ZMW i rozpoczyna złożoną działalność społeczno-naukową.

Wieloma nurtami toczy się życie studenckiej i lekarskiej społeczności, ale wybijają się dwa najważniejsze — medyczny i społeczno-polityczny — obydwie rozwarstwione na wiele elementów o kapitalnym znaczeniu dla: lekarzy, studentów, ludności, uczeni i nawet dla historii.

Ziemia Kielecka, wsławiona historią pierwszego partyzanta II wojny światowej majora Hubala. Szlak bojowy jego oddziału wiódł przez wsie Kielecczyzny, a tropami bohaterstwa szedł makabryczny odwet okupanta. Odwet na ludności „za pomoc bandytom”. Ogniem wytrawiano domostwa, morderstwem pozbawiano życia mieszkańców.

W takich to wsiami rozbija swe obozy społeczno-naukowe

młodzież Akademii Medycznej.

Byłam w ubiegłym roku w Skłobach, gdzie także szkołę zamieniono na przychodnię specjalistyczną. Ciągnęli do niej ludzie z okolicznych wsi, jechali chorzy na wozach z miejscowości odległych o kilkanaście kilometrów. Władza ich fama pierwszych obozów, a zwłaszcza obozu sprzed dwu lat w Huciskach, kiedy to docent dr W. Józefowicz kierował złożoną pracą studentów i lekarzy i w imieniu uczelni zawarł trwały sojusz nie tylko z Huciskami i okolicą lecz z całym powiatem, a chyba i z województwem. Sojusz umacnia się z roku na rok i nie ma takiej okazji, której mieszkańcy Hucisk, Adamowa, Skłobów, Szalasu i wielu innych wsi nie wykorzystali, by spotkać się ze „swoimi medykami”. I nikt z władz gromadzkich i powiatowych, nikt z organizacji ZBoWiDowskich nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że obozy przeniosą się na następne lata w inne rejony. Kielecczyzna uznała je za swoją własność. Medycy z Łodzi stali się obywatelami tej ziemi bez względu na to, że tylko niewielka ich część stanowi „stałą załogę”. Dlaczego?

Upał dokuca. Przed szkołą gromadzą się od rana pacjenci. Siadają na schodach. Z drugiej strony gmachu szkolnego trwa poranny apel uczestników obozu, dyżurni składają sprawozdania z pracy dnia poprzedniego, kierownik naukowy obozu — dr Andrzej Bergiel przyjmuje raporty, przekazuje polecenia.

Śniadanie w jadalni pod namiotami przebiega szybko systemem samoobsługi. Rejestracja i 8 gabinetów specjalistycznych otwierają drzwi dla pacjentów.

Teraz jest o wiele mniejsza frekwencja, co nie znaczy, że ludzie nie potrzebują pomocy lekarskiej. Teraz są żniwa — czas wielkiej, wyczerpującej pracy, gonitwa z czasem, bezradność wobec palącego słońca i przewyciężanie własnej słabości. Ta praca odbiera im siły i zdrowie, ale nie mogą z niej zrezygnować.

— Wstyd mi jak nie wyjdę do pracy — mówi 47-letnia pacjentka gabinetu internistycznego, okropnie schorowana, z obrzękami nóg — co by o mnie powiedzieli sąsiedzi jakbym nie wyszła w pole... Po-

w nadziei, że jeżeli użyją więcej — choroba szybciej minie. Musimy aplikować półdawkę.

Około 1000 pacjentów w ciągu 20 dni przyjął gabinet internistyczny. Jednym z tematów pracy naukowej jest odpowiedzieć na pytanie, jakiej opieki internistycznej wymaga ludność wsi objętych patronatem obozu. Odpowiedź jest ogólnie rzecz biorąc znana: wymaga stałej opieki. Gdybyśmy tu zostali — mówi dr Zebrowski — mielibyśmy stale pełne ręce roboty, bo większość pacjentów wymaga stałego leczenia specjalistycznego.

Gospodyni domu, w którym mnie zakwaterowano ma ośmiorgo dzieci, spore gospodarstwo i nie kończące się zajęcia.

a tu co? gdzie? jak? — oni nie mają czasu.

Czterdziestokilkuletnia kobieta odwija nogę. Okropne rany: owrzodzenie w wyniku choroby żyłkowej. Pregi żył związają się w guzy, przebijają skórę.

— Obtarłam sobie butem, panie doktorze...

— To nie od buta, proszę pani. Trzeba operować. Przekażę panią do kliniki w Łodzi, będzie pani zdrowa.

— Za stara jestem, a zresztą nie mam kiedy, mąż idzie do pracy, sama jestem z dziećmi. Może tak kolo zimy, jak się obrobilo...

Zespół gabinetu chirurgicznego (J. Parkitny, J. Sikora, A. Supady, F. Stempień, Z. Deroń, M. Galicki, F. Jasiński, J. Zalas) pod kierun-

niem zespołu kolegów ocenę stanu opieki lekarskiej z zakresu protetyki stomatologicznej. A jest to raport budzący niepokój i brzmi w skrócie jak następuje: celem naszej pracy jest próba ustalenia potrzeb ludności wiejskiej z zakresu protetyki stomatologicznej poprzez zbada- nie braków uzębienia...

...Andrzej Nowak w swoim raporcie posługuje się zestawem danych z naukowych doświadczeń: do 19 lipca przebadano 140 osób. 125 z nich posiadało braki zębów w szczękę a 129 w obrębie żuchwy. Przebadane osoby zaopatrzone były w 98 protez przy czym tylko 2 były... prawidłowo wykonane i spełniały swoją funkcję. Pozostałe nie nadawały się do użytku. Należało by natomiast badane osoby zaopatrzyć w 580 protez stomatologicznych...

— Pan jest ciekawą, co mi daje ten obóz — powtarza pytanie A. Nowak i — odpowiada: kontakt z pacjentem. Na ćwiczeniach w klinice większość asystentów śledzi każdy ruch naszej pracy i człowiek znajduje się pod nieustającą kontrolą. Pracuje ze świadomością podopiecznego. Tu — asystenta proszę o pomoc w wypadkach trudnych, a sam nabieram wiary we własne siły, przypominając sobie sytuacje w klinice: „jak to było? co On (asystent) wtedy powiedział?” Mam poczucie bezpieczeństwa, bo wiem, że mogę zapytać w chwili zwątpienia: co dalej?..

— Jak pan ocenia stan uzębienia mieszkańców podopiecznych wsi? — zadaje wersję tego samego pytania i uzyskuje identyczną odpowiedź: „żle”.

Pytania i odpowiedzi, mnożone przez osiem gabinetów specjalistycznych, dają obraz stanu zdrowia wsi kieleckich i nasywają następne pytania: „co dalej?” Co wynika z faktu, że mieszkańcy wsi uzyskali przywilej ubezpieczenia? Jak z niego korzystają? Jak widzą organizację leczenia wsi dzisiejsi „medycy” a jutrzejsi lekarze? Na czym polega związek nauk medycznych z realiami surowych warunków życia „konsumentów” usług lekarskich? Gdzie jest miejsce pracy absolwenta Akademii Medycznej? Czy wieś da się lubić, jako miejsce startu lekarza-praktyka?..

Na dziesiątki pytań, które nurtują obserwatora obozowej praktyki medyczno-społecznej chciałabym odpowiedzieć w następnych relacjach. Pytania proste. Odpowiedzi — złożone. Czytelnicy pozwolą, że podejmę próbę oceny marzeń w konfrontacji z pyskimi rzeczywistości w dalszych artykułach.

ZOFIA TARNOWSKA

„NASI MEDYCZY”

le to pięć hektarów, dzieci są małe, trzeba odrobić wszystko siłami swoimi i imię. Wszystko ręcznie. Tu nie ma mechanizacji prac polowych. Królówiec nie ma nawet Kółka Rolniczego...

Jak jej pomóc? Powinna się znaleźć natchmiast w szpitalu, ale nie pójdzie. I nie ona jedna. Niemal co trzeci z pacjentów powinien być hospitalizowany, żeby leczenie dało należyte efekty. Przed kilku dniami „udało się” zawieźć do szpitala w Końskich pacjenta, który przyjechał do studenckiego ośrodka w Królówcu z miejscowości odległej o 25 km. Przyjechał... rowe- rem. Stwierdzono, że jest kompletnie odwodniony. Przy- był po ratunek w ostatnią go- dzinę...

— Zróżnicowani są pacjenci naszego gabinetu — stwierdza dr Andrzej Zebrowski. Przeważają starsi. Niektórzy zachowują niezwykłą sprawność fizyczną mimo podeszłego wieku, ale większość cierpi na choroby przewlekłe, nieleczone, zaniedbane, przyjmujące ostre stany. Trudno ich przekonać do leczenia szpitalnego mimo, że Rada Senacka AM podjęła uchwałę, żeby do klinik łódzkich przyjmować każdego — bez względu na rejonizację. — Boimy się dawać radykalnych leków, bo nie wiemy jak będą używać. Mielśmy przypadki zatruc — przedawkowali

Ona nie chodzi, lecz biega. Czasa- mi lekko utyka...

— A, to kolano. Rok temu spadł mi worek ze zbożem na nogę i spuchła mi okropnie, ale potem przeszło. Wybieram się do nich (do Ośrodka), ale nigdy nie mam czasu, sama pani widzi jak to jest. Dwie pary rąk i nóg by się przy- dały.

Jedziemy po południu do wsi Szalasa. Tu, 30 km od Królówca, dr H. Romanowicz zorganizował podobóz — drugi ośrodek zdrowia i co drugi dzień chirurg, stomatolog, internista i pediatry przy- mują w szkole i punkcie fel- czerskim pacjentów z tej wsi. Za stolikiem nauczycielskim siada dr Józef Szklanny — kierownik gabinetu chirurgicznego. Zabiegów się tu nie wykonuje (w Królówcu tak), ale pacjenci tego dnia przyje- ci kwalifikują się do zabie- gów w szpitalu.

— Boli w nodze, panie dok- torze, ból przyszedł tak sam, z siebie. Wywiad, badanie, diagnoza: reumatyzm w sta- wie biodrowym. Stara, zaniedbana sprawa. Człowiek ma lat pięćdziesiąt dziewięć. Nie był jeszcze u lekarza. Nie bolało.

W mieście kieruje się tak- lich pacjentów do sanatoriów na naświetlania, lampy, zaj- mują się nimi reumatolodzy,

kiem dr Szklanego opraco- wuje dwa tematy naukowe: epidemiologia chorób kończyn dolnych w środowisku wiejskim oraz sposób żywienia się a stan odżywczej ludności wiejskiej. Materiał badawczy jest obfity. Do najczęstszych chorób, z którymi pacjenci zgłaszają się zalicza się cho- robę żyłkową kończyn dol- nych, zaniedbane przypadki ropne skóry i tkanki pod- skórnej oraz pourazowe ukła- du kostnego. Miarą pracy ga- binetu jest tygodniowa staty- styka: 5 średnich zabiegów o- peracyjnych, 32 opatrunki, 28 iniekcji, 44 porady chirurgicz- ne.

W pewnym momencie po- czułam się zagubiona w pro- blemach medycznych i spo- łecznych każdego z elemen- tów organizacyjnie doskona- lych gabinetów lekarskich. Uczestniczenie w wieczornych posiedzeniach rady obozu sta- wiało mnie w sytuacji bez- radnego laika. Stałam się na- głe jednym z setek pacjen- tów, szukających pomocy ne- urologa, ginekologa, stomato- loga, pediatry. Zdawało mi się, że potrafię oddać przy pomocy słów atmosferę co- dziennego trybu pracy i oto stoję uboga jak dziań, proszą- cy o kawałek chleba:

— Co panu daje ten poligon zwany obozem społeczno-na- ukowym, panie Andrzeju — py- tam studenta 5-go roku sto- matologii, który składa w

nie, to precyzyjne, niemal zegar- mistrzowskie modelowanie szcze- gółów, za co zresztą przedsiębior- stwa budowlane otrzymały 20 pro- cent dodatku. Jak więc można sobie wytłumaczyć list przesłany 20 czerwca br. do inwestora (PDRN Łódź-Śródmieście), w któ- rym czytamy:

„Dotyczy budynku: Piotrkowska 48. Nawiązując do pisma Waszego z dnia 14.III.1972 r. Miejskie Przed- siębiorstwo Budownictwa Komu- nalnego nr 5 w Łodzi zwraca przy niniejszym dokumentację na wy- konanie balustrad balkonowych żeliwnych ze względu na brak możliwości znalezienia wykonawcy oraz braku możliwości demontażu balustrady na posesji przy ul. Piotrkowskiej 22, która jest wyko- nana przez inne przedsiębior- stwo.

W związku z powyższym prosim- y o zmianę technologii wykona-

nia w/w balustrady lub znalezie- nie wykonawcy we własnym za- kresie”.

Mityczne sformułowanie „zma- na technologii” to zwrot maskują- cy fuszerkę, kryjącą w sobie wiele niebezpieczeństw z konserwa- torskiego punktu widzenia. To re- zygnowanie z rekonstrukcji, pójsie na łatwiznę. A już zgoda niezrozu- miały unik stanowi możliwość po- rozumienia się z bliźniaczym przedsiębiorstwem, które podlega temu samemu Zjednoczeniu. Nie- stety, nie jedyny to wypadek od- stępowania od dokumentacji. Przedsiębiorstwa budowlane bez- trosko zrezygnowały z rekonstruk- cji kopuły na dachu budynku bankowego (róg Piotrkowskiej i Moniuszki) wg projektu artysty- -plastyka Roszaka. Nie była to konstrukcja przerastająca zdolno- ści polskich inżynierów, zadecydo- wała nonszalancja i brak plety- zmu dla zabytków, a wszystko us- prawiedliwiła potrzeba pośpiechu,

bo Złot się zbliżał. Wiele krytycz- nych uwag pod adresem wyko- nawców zgłaszają nadzorujący prace z ramienia Zakładów Ar- tystycznych ZPAP plastycy. J. Du- dzikowska, (jak do tej pory bez- skutecznie, domaga się wyreper- owania skrzydeł bram w posesjach przy Piotrkowskiej 143, 147, 149 oraz odrestaurowania wnętrz bram obejmującego sufity, ściany, bo- azerie, detale architektoniczne.

Zresztą, gdy dobrze się przy- rzec, nietrudno skonstatować, że prace na Piotrkowskiej cechuje niechlujność wykonania detalu ar- chitektonicznego i malowania sto- larki. Brygady malarskie z przed- siębiorstw nr 1 i 5 z reguły zоста- wiały źle zatynkowane na ścia- nach otwory maculcowe po rusz- towaniach, maźnięte od niechcenia pędzlem. Może więc należało skon- centrować się na robotach plano- wanych, a dopiero po ich dokład- nym wykonaniu pomyśleć o do- datkowych elewacjach? Tam bo-

wiem, gdzie chodzi o dzieła sztuki, pośpiech i brawura nie są naj- lepszymi sprzymierzeńcami.

Zdaje sobie oczywiście sprawę, że niełatwo było znaleźć w Łodzi sztukatorów, że modernizacja i rekonstrukcja Piotrkowskiej po- stawiała przed przedsiębiorstwami budowlanymi zupełnie nowe za- dania. Ale to w niczym nie uspra- wiedliwia niechlujstwa, tym bar- dziej, że sztukatorów ostatecznie znaleziono i pracę wykonano. Pra- ce także będą kontynuowane i choćby dlatego warto od początku zastanowić się nad posunięciami organizacyjnymi, które zapewnią łódzkiemu zabytkom właściwy, nie- naruszalny kształt. Czeka ją nas nie tylko dalsze elewacje i mamy nadzieję, wykonanie tego, z czego zrezygnowano w pośpiechu, a co sprawia, że mimo zaangażowania ogromnych sum, Piotrkowska wciąż jeszcze pozostaje perłą bez blasku. Czeka nas w niedługim czasie kolejny etap prac na tej

ulicy, modernizacja parterów, który, oby, nie był odkładany w nieskończoność.

Zbliżający się jubileusz 550-lecia istnienia miasta obliuguje nas do tego, aby sprawę Piotrkowskiej potraktować prestiżowo i prioryte- towo, a tego nie da się rozwiązać bez wyspecjalizowania jakiegoś przedsiębiorstwa budowlanego lub choćby jego działu w problema- tyce restauracji budynków zabyt- kowych. Trzeba powołać łódzki oddział Pracowni Konserwacji Za- bytków. Jest to zagadnienie szer- sze niż pryncypalna ulica, bo do- tycające całego miasta, które do tej pory nie potrafiło ukazać i wydobyc tego wszystkiego z prze- szłości, co warte jest zachowania i pietyzmu.

Dlatego perle łódzkiej secesji trzeba jak najszybciej przywrócić jej blask. Kolorowe lampki nie wystarczą.

KONRAD FREJDLICH

Pan Piąstka musiał zarabiać obie-
ma stronami garści. W jedną i
drugą stronę. Emaliowane, na
przykład, wiadro, które kosztowało
doład trzydzieści pięć złotych, jako
środek płatniczy za szmaty, rozsta-
ło się nagle w swojej wartości
do podwójnych wymiarów. Takie
same właściwości miały kubki,
miski, talerze. Nie tylko więc pan
Piąstka promieniał na twarzy, ale
i owe kubki, garnki, talerze pęcz-
niały z dumy — zawsze to prze-
cież przyjemnie znaczący dwa razy
tyle co się naprawdę znaczą.

Trzecim źródłem dochodu była
sprężynowa waga, którą pan Piąst-
ka trzymając w garści regulował
palcem uzbrojonym w specjalny
paznokcie. Czwartym wreszcie —
gatunek szmat, w czym zupełnie
już nikt nie mógł się połapać, bo
szmaciarz tak zawsze potrafił rzecz
odwrócić podszewką do góry, że oile
tylko babina, ale i sama szmata
nie była już pewna czy jest z wel-
ny, czy tylko tak jej się dotąd wy-
dawało. Może i słusznie: najtrud-
niej przecież poznać samego siebie.
A rodzaj żeński, do którego zalicza
się także szmata, ma z tym szcze-
gólnie trudności.

— Pani chyba żartuje. To ma być
welna?

— Przecież kupowałam tę jesion-
kę jako welnianą.

— I pani w to wierzy?... Ja też
kupilem kiedyś na targu prosiaka,
a po roku okazało się, że to we-
le nie prosiak, ale cała świnią.

Ktoś parsknął śmiechem, babina
się zmieszala. Pan Piąstka był jed-
nak gentelmanem od ucha do ucha.

— Przecież to ciuch przedwojen-
ny. Skąd pani może pamiętać.
Przed wojną to panią jeszcze wó-
zeczkiem wozili.

I rzucił Józkwowi na samochód
szmaty, które chłopak jeszcze w po-
wietrzu segregował według gatun-
ku.

— Szefie! To się kupy nie trzyma
— zauważył to zaraz Józek,
któremu wszystko musiało się prze-
cież zawsze zgadzać.

— Niby co?

— Ta mowa. Jeśli przed wojną
paniusię wozili w wózeczku, to nie
mogli jej kupić dorosłej jesionki,
nie?

— Głupis, chłoptasiu. Na psycho-
logii się nie znasz. Wymagaloby to
od klientki dodatkowego i samo-
dzielnego myślenia, a na to tu
miejsca nie ma. Dociera tylko naj-
ważniejsze. A najważniejsze jest
zawsze to co przyjmie. Albo naj-
tańsze. Weźmy na przykład, takie
garnki — kończył mu potem po
targu wykład z „psychologii”. —
Nikt się nie zastanawia nad ceną.
Dla nich najważniejsze jest to, że
za stare szmaty dostaje się nowy
garnek, kapujesz?

W dni pozatargowe jeździli po
wsiach. Szef zatrzymywał się zwy-
kle przed gospodą z gorącym bigo-
sem, albo przed sklepem z dużym
piwkiem, a Józek ganiał od chałupy
do chałupy.

— Szmaciarz przyjechał. Szykuje
ludzie butelki i szmaty, zaraz
się będzie tędy przejeżdżał i zabie-
rać.

A że poobwieszany był reklamo-
wymi kubkami i rondelkami jak
święty Mikołaj — nie musiał zbyt
długo zachęcać.

Mogła tak słuchać i słuchać, bo
Józek potrafił opowiadać. Tak od
niechęcia, jakby sam do siebie, albo
obrazy przesuwały się tylko
przed oczami, a on je, po prostu,
nazywał. Chciał jeszcze raz prze-
mierzyć całą drogę, dojść po ka-
wałku do chwili obecnej, nigdy
przecież dotąd nie przyglądał się
sobie, nie wracał — leżała się tylko
przyszłość, jedynie ona mogła mieć
wartość. A teraz tamte dni odbite
od Ani oczu nabierają jakichś in-
nych wymiarów: nie ziębia już
tamte chłody, nie cuchną starzy-
na szmaty, nie drzewieją od wody
ręce, gdy płucze butelki. Te wszyst-
kie zdarzenia układają się teraz
w wyobraźni dziewczyny w nieznaną
jej dotąd ścianę, którego nie wycy-
tała nawet w książkach. A bohater
tak blisko. Razem z nim wędruje
teraz przez barwne jarmarki, prze-
pycha się przez tłum, ścisła go
mocno za rękę, żeby nie zgubił się
w tym tłumie; jadą na karuzeli, w
głowie się kręci, kręci...

Samochód przejechał zszoną, bly-
snął na chwilę czerwonymi światła-
mi, schował się za zakretem.

Na szosie wszystko pojawia się
tylko na chwilę. Nie ma już targu,
rondelków, starego samochodu. Jest
tylko Józek. Ale też inny. Nie za-
fascynował go szmaciarz na dłużej,
znużyły krajobrazy oglądane spod
szmat. Kawalki czegoś co było, i od
dawna przestało już istnieć. Życia
nie zszywa się z kawalków — luź-

nych, brudnych, nie pasujących do
siebie.

Lepiej już dźwigać coś ciężkie-
go, pod górę, pod wiatr. Coś, co
tylko pozornie jest brudne, zachla-
pane, ale daje się oczyścić — posia-
da bowiem jakiś sens, czemuś na-
prawdę służy... Zaczął pracować
przy murarzach. Mieszał wapno,
nosił cegły, tynkował. Było do Je-
sieni, do dnia kiedy skończył osiem-
naście lat. Dopiero z dowodem w
garści można zacząć. Szukać siebie
— miejsce, o których się kiedyś śni-
ło. Nieskonkretyzowanych — jak
zwykle we śnie — ale istniejących
na pewno.

Bo tutaj ciasno. Kilka domków
rozrzuconych byle jak, w sąsied-
niej wsi gospoda z brudnym pi-
wem, jeszcze dalej — w miastecz-
ku — prowincjonalne kino. Nie wo-
kół się nie dzieje, za miedzą Jesz-
cze bardziej cicho, chłopaki grają
w palanta, raz na tydzień w remi-
zie zabawa. Nie, on nie chce tak jak
Kotula usiąść kiedyś na przyzbie
i słuchać co mu krowina sennym
głosem porykuje zza ściany. To już
Józkwowi nie wystarcza.

— A szkoła nie przyszła ci nigdy
do głowy? — Nie rozumiała Ania,
bo dla niej wszystko musiało mieć
jakiś początek.

— Przecież już jestem kierownicą.
Skończyłem też kurs operatorów

cięż nie śmiał nawet pomyśleć. Nikt
go także nie słucha, coż kogo mo-
że obchodzić jakiś Józek, który
uzupełnia sobą jakąś wieś, jest
jednym z drzew przydrożnych two-
rzących krajobraz. Rzeczywista jest
tylko Krycha, wrośnięta mocno no-
gami w ziemię, nigdzie stąd nie
wyjedzie, będzie czekać na niego.

Najbardziej charakterystyczną po-
stacią na odpuscie był harmonista
przygrywający jadącym na karu-
zeli. Był symbolem wszystkiego co
odpuścowe. W sobie zesrodkował
wniosłość i śmieszność.

Odpust.

Urok tandety, która w odpustu-
wym wydaniu posiada swoisty
wdzięk. Wszystko dzieje się sponta-
nicznie, bez analizowania treści i
formy, bez złudzeń przy jednoczes-
nym opakowaniu wszystkiego w celo-
fanowy papierek największego złu-
dzenia. Tylko na odpuscie mogą
smakować najgorsze cukierki, tylko
tutaj można się tanio przystroić
sznurami obwarzanków, tylko tu
szklane koraliki na nitce mają
przez chwilę wartość najprawdzi-
wszych koral, bo trzeba by wygrał
a nie tylko kupić. Rzecz wygrana
posiada szczególną wartość — trze-
ba mieć przecież szczęście. Można

Marmurowym bezruchem celeb-
ruje ów dzień uroczysty. Wszystko
dziś ważne, wzniosłe. Najbardziej
zaś karuzela. Wysoka jak kościół i
w dodatku się kręci. Dominuje nad
odpustem. Nadaje mu sens. Skupia
wokół siebie największą liczbę. Coż
znaczyłby odpust bez karuzeli?

Jedynie pomieszany z muzyką
ludzki gwar tworzy nastrój. Inaczej
byłby to przecież tylko jarmark.
Tyle, że w czarnych garniturach,
Dziwki oberków i polek noszą się
nad tłumem, przeciskają się przez
ciżbę, pomiędzy nogami, które z mo-
zolego, codziennego krzątania się
wokół własnych spraw stają się na-
głe żwawe i podrygują rytmicznie.
Karuzela zwolniła, on oderwał
palec od klawiszów, wypuł na zie-
mię niedopałek.

W tłumie, nie opodal straganów —
Józek. Rozchmurzony wreszcie, usi-
łował się nawet uśmiechnąć.

— Krycha!
— Co?
— Wieczorem pójdziemy poska-
kać trochę, cheesz? Skinęła głową.
— W remizie dziś ubaw... A teraz
chodź!

Pociągnął ją za rękę w kierunku
karuzeli. Wsiadli, harmonista naci-
snął im z oczu, znów się pojawił,
zniknął... Najlepiej w pędzie wyrzu-
cić z siebie balast. Pozwolił zdmu-

— Nie mam, Józku, kostiumu.
— No to... — wyjaśniał nagle, ale
zaraz się przyhamował. — Majtecz-
ki jednak masz. A tego od góry
nie musisz się przecież wstydzić —
poweselał znów, bo sam nie lubił
się kapać. — No?...

— Ale jak to tak? Tak przecież
nie można.

— Dłaczego?
— Odpust przecież.

— Tutaj nikogo nie ma. Nikt cię
nie zobaczy.

— Ale ja mówię, że odpust.
Zrozumiał. Zza jeziora dzwony
jeszcze słycać, gdzieś tam maszeru-
ją pewnie procesja, karbowana
bibułka w oknach, na Bramach
święte obrazy... Wyrazić to było jej
tylko trudno. Mówiła zwykle mono-
syllabami, niewiele. Tyle, żeby się
porozumieli.

Chodziło też pewnie o wstyd.
Nawet mężowi nie pokazałyby się
nago. Skóra jest przezroczysta i nie
potrafi ukryć tego co na samym
dniu, w dziesiątym zakamarku. Ni-
by tam nie ciekawego, wszystko
proste jak meble kuchenne, ale
biedne, pełne niepokoju.

— Ano, jak sobie uważasz. Ja
się kąpię.

Wyskoczył szybko ze spodni, zło-
żył je równo w kancik, zdjął ko-
szulę, buty, pobiegł do wody.

Przyjemnie. Woda czysta, rześka,
żadnych problemów. Poczul się lek-
ko. Krycha czeka na brzegu...

Usłyszał szelest. Pewnie dziew-
czyna myje nogi. To dobrze. Będą
wilgotne i jędrne.

Chłupnęło głośnie. Obejrzał się.
W hałce weszła do wody. Po szyję.
Żeby Józku nie był zły, że odmó-
wiła. On taki dobry. Pierścionek
jej kupił...

— Krycha!
Szła do niego powoli, szczęśliwa,
że im bliżej chłopaka tym bardziej
zakrywa ją woda. Już nawet po-
chylić się nie musi, unosi się lek-
ko na palcach. Mogłaby tak isć bez
końca, zanurzać się w ten dzień
przenajświętszy, który zaczął ogar-
niać ją całą jako ta woda. Nie czuje
własnego ciężaru...

— Chodź, popłyniemy! — zawo-
łał, rzucając się na wodę.

Zatrzymała się, gdy fala wplynę-
ła jej do ust. Przeszraszyła się na-
głe. Więc tak daleko już weszła?
Zapatrzona w Józka nie pomyśla-
ła o sobie. Cofnęła nogę do tyłu.
Opór wody obezwładnił jej ruchy.
Nie ma już odwrotu.

— Józku!

Zawrócił. Wolno płynął w jej kie-
runku. Patrzył jak stoi tak nieru-
choma, z zadartą do góry brodą.
Nagle zrozumiał. Szybkim wyrzu-
tem rąk znalazł się przy niej. Ob-
jęła go za szyję.

— Nie umiem pływać — powie-
działa cicho, jakby przepraszała za
ten nagły gest.

— To po co wlażałaś tak daleko?
Mocniej przytulił ją do niego i po-
kazala mu oczy, w których widnia-
ła cała odpowiedź. Nie miała już
nie do ukrycia.

— Zdejmij to z siebie przedko.
Wyglądasz jak zmokła kura.

Zmartwiła się, tak bardzo chciała
mu się przecież podobać.

Za wierzba była ogromna kępa z
trawami, i cisza rozciągająca się
daleko.

— To odwróć się. Zaraz się prze-
biore.

Od strony odpustu dobiegaly
dzwony. Gdy rozbierała się dzwoni-
ło w uszach jeszcze głośnie. Od-
wrócił się. Krzyknęła. Runęła ra-
zem w trawę.

W remizie było tłoczno. Z tru-
dem znaleźli przy stoliku dwa
miejsca. Ociekali już piwem i wód-
ką, zapach serdelków z musztardą
rozwałił się na brudnych obrusach,
na krzesłach, w drugiej sali orkie-
stra rżnęła z przytupem walczyka.

Zamówili ówiartkę, przegryźli
serdelkiem i Józek pociągnął Kry-
chę za rękaw.

— Chodź!
„Koleś” zastąpił im drogę.
— Cześć, Józku. Kopę lat!
— To ty, Mietek?
— Chodź, stary. Trzeba to pod-
łać.

— Jestem z kobietą.
— Nie szkodzi. Dla kobiety też
starczy.

Przesiedzieli z nim jeszcze jedną
ówiartkę i bigos. Swiat nabral
rumieńców, Krycha wypieków, muzy-
ka rytmu. Czas było pójść tańczyć.
Weszli na salę.

I wtedy zobaczył Anię. Mignęła
mu gdzieś przed oczami, zawirowa-
ła. Przetarli powieki: chyba mu się
tylko zdawało, bo niby skąd by się
tu wzięła Ania?

I nagle poczuł, że trzyma w ra-
mionach obcą dziewczynę.

Fragment powieści,

HENRYK CZARNECKI

Obca dziewczyna

dźwigowych. Czy ty wiesz, Aniu,
ile...

Umilkł. Wyciągnął z kieszeni cze-
koladę — symbol zamożności — ro-
zerwał papierek, przelamał, włożyła
kawalek do ust... Niewyraźnie za-
czął sobie uświadamiać; za późno,
wieczór minął niepostrzeżenie, trze-
ba wracać... Zawsze trzeba gdzieś
wracać. Opustoszeła wieczory, Ania
wyjedzie, on na jesieni pójdzie do
wojska, potem ożeni się z Krychą...
Zrobiło mu się smutno. Spojrzał na
Anię: też o czymś myśli, znów jest
daleko... Pewnie przerzuca już kart-
ki ogromnych książek, wtapia się
w gwar korytarzy, ktoś dotyka jej
dłoni... Poczul nagłe swoje ubóstwo.
Coż znaczy przy niej? Razem ze
swoim prawem jazdy, brudnymi
szmatami, lasowanym wapnem? Powinien
ją raczej podrywać. Dziewczyna zdrowa,
nudzi się na wsi, a on jej tam różne dyrdyma-
ki zasuwa...

Ale jakoś nie wychodziło. Nie
przyszło mu nawet do głowy coś
takiego, choć Ania od pierwszej
chwili robiła na nim wrażenie.
Tylko, że było to jak jakaś inna
muzyka. W niezmyślnie podobna do
tej z remizy. Może tej z kina, albo
z kościoła. Ania też jak z obrazka.
Trochę przypomina panią doktor,
trochę Matkę Boską na wakacjach.

I nagle zrozumiał: Ania jest już
studentką. Każdy powinien się
kształcić... Jakoś nie pomyślał do-
ład o szkole. Szczytem kariery dla
niego było zdobycie prawa jazdy,
praca przy samochodzie, stała pen-
sja.

I dopiero teraz, idąc tak koło
Ani, zobaczył, że Ania daleko. Wy-
ciągnięcie ręki w jej kierunku ni-
czego nie zmieni. Trzymając ją za
rękę nie uchwyci nawet jej palca
— każdy przeznaczony do czegoś
innego, większego, gdy jego palec
będą zawsze przykręcać zakretki.

No to co? Tysiące ludzi różni się
dzieliłoby sobą i dotychczas nie obe-
chodzili do Józka. Ale teraz obchodzi.
Wprawdzie wiedział, że lato się
skończy, Ania wyjedzie, ale starał
się nie myśleć o tym. Wystarczył
mu czas terazniejszy.

A teraz dostrzegł, że nie ma czasu
terazniejszego. Matka Boska jest,
ale tylko na obrazku. Gdy zamknie
oczy i znów je otworzy zobaczy, że
nikt koło niego nie idzie, nie siedzi,
wszystko mu się tylko zdawało.
Nawet to, że jest dobrze, tylko
dobrze, bo o niczym innym prze-

wypróbować je tutaj, uwierzyć w
nie. Złoty pierścionek z kawałka
drułu czy gipsowy kogutek są więc
nie tyle wartością samą w sobie, co
potwierdzeniem tego szczęścia, które
w życiu posiada tak przecież
istotne znaczenie.

Wszystko wiruje. Poczawszy od
okrągłego stolika z powbijanymi
węń gwóźdźkami i piórkiem, któ-
rym się kręcił w poszukiwaniu tego
szczęścia, poprzez kolorowe stra-
gany mieniące się tysiącami szcze-
gółów, karuzelę... W głowie się
kręci od wszelakiego nadmiaru,
skarby rozłożone tuż obok i wszyst-
kie do osiągnięcia, włącznie ze
szczęściem, bo na kręcącym stol-
ku nie istnieje w zasadzie miejsca
przegrane.

Najbardziej ważna jest jednak
na odpuscie karuzela. Ludzie lubią
ten pęd wokół, to oderwanie się
na chwilę od złami przy jednoczes-
nym poczuciu, że znów wysiadzie
się tam gdzie się wsiadło, że nie się
nie zmieni na gorsze. A do tego
jeszcze muzyka...



Wkomponował się w odpust har-
monista. Stworzony jakby wylącz-
nie do tego celu. Plecami przytłosił
do karuzeli. Przyklejony do warg
niedopałek tkwił w nich bez zmian.
Czapka zsunięta na tył głowy. Nie-
ruchoma jest nawet harmonia, bo
powietrze do niej wtłaczane noga-
mi, nogami naciska się miechy,
machinalnie, jakby udeptywał dzie-
siałą z kolei beczkę kapusty. Wszy-
stko w nim martwe, zastygłe,
oko nie drgnie mu na twarzy, wpa-
trzony jest w nie istniejący punkt
nad głowami gapiów.

ZALAMANIE PSYCHICZNE

Ona to niedługo będzie chodzić bez sukienki — zdecydował Kudłaty. Kudłacin — Brigitte Bardot dla takich pięćdziesiątce — dubie w popsutym zębie. I po co się gasisz? — powiada. Przecież takiej to tylko o to chodzi. Ona się zresztą nie najlepiej prowadzi — wdycha smutnie. Zal jej teraz siebie, bo przy mnie wysiada. A gadają tak głośno, bo chcą, że bym koniecznie usłyszała. Tak wstyd — biadoli Kudłaty. Ten stary Oratejski to ma z nią krzyż pański. Żeby taka pannica z powszechnie szanowanej rodziny... A ten jej mąż też nie lepszy. Przedwczoraj w SPATIFie... Tu już się zdenerwowałam i jeszcze bardziej nadsławiam ucha. Stary w Paryżu, to matka wybyła do Zakopanego i nie mam gdzie dać obiadów. Niech się nauczy gotować — zawyrokowali wczoraj moi teściowie. Sławek aż się poplakał ze śmiechu. A na kiedyż to państwo planują dziecko — pytali też groźnie. Tak odpuściliśmy ze Sławkiem w stół, że aż się popielniczka stłukła. Jesteśmy dorośli i wiemy, co robimy — powiedzieliśmy moim rodzicom przed ślubem. Dam sobie radę! Nic od was nie chcę! — płakałam. Korepetycje będziemy dawać i już! Stary złożył mi książeczkę mieszkaniową. Trzy lata kazali czekać, chociaż go znamo. Sublokatorka kosztuje półtora kola miesięcznie. Oratejscy dają nam dwa pątyki. Młociakowie też tyle. I dlatego nie mam w co się ubrać. Gdyby nie mamusia, to bym już nie miała — narzekam Sławkowi, ale on mnie nie rozumie. Ta staruszka, u której mieszkamy, nazywa się Weronika Radzimuńska. Z tych Radzimuńskich. To znaczy z tych Radzimuńskich był jej świętej pamięci mąż, bo ona jest z domu Bucior. Przed wojną to miała dwa sklepy. Jeden z gorsetami, a drugi z warzywami. Sam Poznański kupował u niej pomidory. Niech no mi pani sprzeda ze dwa kilo — prosił. I nawet nie przebrała, tylko brał jak leci. O, bo u Radzimuńskiej to dopiero były pomidory!

Wielgachne jak jabłka — chwali się ciągle babka, bo tak ją sobie nazywamy. A pani tatuś to był chyba fabrykantem. No nie? — wypytuje ciągle, bo ma sklerozę. Od razu widać, że pani z dobrej rodziny — głęzi. Moja świętej pamięci prawdziwa babka z Odlanickich Oratejska przewraca się pewno w grobie. Mój świętej pamięci dziadek Oratejski, herbu Wyraj, pewno też. W naszej rodzinie mieszczaństwa nie było. Ja jestem z obywateli ziemskich. Jak do kuchni mojej babki, Kaśki, przyszło napogalenie, żeby się prześwietliła i na kopercie napisali: obywatelka, to dziadkowie długo dyskutowali nad zepsuciem języka. Nie, proszę pani, mój ojciec, to powszechnie znany i szanowany adwokat — tłumacz zdenerwowana. Wszystko mi zabrali — popiskuje babka. Ten z gorsetami to niech tam! Ale ten z pomidorami też! Ze też Boga na nich nie ma! Ej, Babciu — rezonuje mój mąż — jeżeli, co daj Boże, nie ma Boga, to dzięki Bogu, lecz jeżeli, co nie daj Boże, Bóg jest, to niech nas ręka boska broni. Pan to taki antykryst — śmieje się staruszka. A w ogóle to mieszkanie jest jej córki. Tylko, że ona wyszła po raz trzeci za mąż i mieszka we Wrocławiu. Za ginekologa poszła — skarży się babka. Wstyd ten chłop to nie ma za grosz. I ona też się Boga nie boi! Jeżeli, co daj Boże, nie ma Boga — przypomina Sławek. I znowu babka żegna się trzykrotnie. Czasami to mam z nią utrapienie. Niech no pani zamknie okno, bo u mnie to zaraz cug. Więc lecę i zamykam. Ta maszyna pani to wali i wali, aż mi w głowie buzuje. Jezus Maria! Znowu przez tą wariatkę nie zdążył przepisać wierszy na konkurs! Ten pani mąż to pewnie wcale nie spał. Do trzeciej rano paliło się światło. Babka jest drażliwa, bo za elektryczność i gaz płaci jedną trzecią, bo ona gotuje, a my nie. Sławek klinie, ale o jedenastej gasi światło i czyta przy latarce. Zobacysz! Ja jeszcze nerwicy dostanę — płacze u mamy. Ona o dziesiątej wystawia butelkę. O

jeđenastej chowa, bo się boi, że ukradną. O dwunastej wystawia. O pierwszej chowa. A o czwartej dowala się mleczarz i ja ją muszę mu wydać, bo babka śpi. Raz, gdy Sławek miał jechać do Poznania po nagrodę, tośmy zamówili budzenie. Za telefon płacimy my, ale wydzwania ona. Codziennie, po cztery razy, do trzech synów. O piątej rano dzwoni telefon, ale ja już nie spałam przez mleczarza. Babka od piątej urzęduje, więc ziałała za słuchawkę. I słyszę: A, pewno do tych państwa, nie? Ale oni jeszcze śpią! I trzask w widełki. Panienska z okienka dzwoni jeszcze raz i się wydziera, że głupie dówcipy robię i nie szanuję cudzej, ciężkiej pracy. To może się już rozwiedźcie — proponuje mamusia szminkując usta francuskim cyklamem. Ech, nie! Jest zupełnie klawo. Tak mówię mamie, ale naprawdę, to pewno już niedługo się pozabijamy. Gdy puszcza magnet, to ten kretyń ma akurat natchnienie. Zawsze chce czytać tę książkę, której jeszcze nie skończyłam. Gdy mówię, że jakiś szkic jest interesujący, to on twierdzi, że bzdury. Wydrukowali ci całkiem słabą rzecz — powiada — gdy akurat się cieszę. Zostań sobą — mówi — gdy eksperymentuję. A poza tym ja się buntuję, a on jest sentymentalista. I na dodatek nie lubi bałaganu. Co te pończochy robią na biurku — pyta retorycznie. A to sam sprzątaj! — pokrzykuje. A jak nie, to wont do mamusi pod pierzynkę! Sama się wynoś — Sławek na to. Bardziej chętnie! — krzyczy. Pakuję rzeczy najpotrzebniejsze, ale i tak walizka się nie domyka. Siadam na niej okrzakiem. Okaż się choć raz człowiekiem i pomóż mi — błagam przez łzy. Alusię! Nie złość się! — przeraża się po raz chyba tysięczny w tym małżeństwie mój mąż. A swoją drogą do tych kiecek to ty masz. Za cholere ci się nie zmieszczą — dowcipkuje. Glupi jesteście. Przecież wiesz, że nie mam w co się ubrać! Ty to, jak ten mąż z kawalci, wraca facet do domu. Patrzy, a tu żona w negliżu. Zgłupiała, czy co? — pyta. A bo nie mam co założyć na siebie. To ten leci do szafy. A to co? — wścieka się. Jedna kiecka! Druga kiecka! Trzecia kiecka! Dzień dobry panu! Czwarta kiecka! Zostawiamy więc rozgrzdaną walizkę i pędzimy do kina. O mało nie zabijamy drzwiami babki, bo znów podsłuchiwała. Nasze awantury to dla niej najkwaśniejsza atrakcja. Zawsze na drugi dzień to współczuje Sławkowi, że ma ze mną psi los. Potem mnie współczuje, że mam z nim ciężkie życie. Z tego to można zwirować! Jeszcze przed Paryżem, pewno żeby się wprawili, poszedł mój stary ze Sławkiem na striptease do Tivoli. Jak się babka dowiedziała, to ze zgrzyoty w głowie jej buzoowało jak nigdy.

Nie wiedzie mi się przez nią w pozę. No, bo kiedy w końcu mam pisać? Jak nie dostalam tej nagrody, to szlochałam przez pół dnia, chociaż Sławek mi nieopamiętnie kupił, i choć całą butelką wypilam od razu. Pewno żona w ciąży, że taka nerwowa? — dopytywała się babka. To wprawilo i Sławka w fatalny humor, bo przedtem raczej się cieszył. Jakież to głupi babszty! — pomyślałam sobie i zaraz poczułam się lepiej. Chociaż nagrodę dostała Cyńska, a jest przecież mało zdolna. Dombek też nie dostał. Uchlał się okrutnie. I jak siał pod latarnię na nader ekspozycyjnej ulicy, to go capneli. Potem zadzwonił Rólikowski. Aluniu! Wiecie już! Dombek żył sobie podcią! Jezus Maria! Jeden z największych poetów mojego pokolenia! Taki wspaniały człowiek! Tak! wewnątrz uczywi! Plakałam serdecznie i napisałam znakomite „Epitafium”. Potem okazało się, że jednak wyżył. Dlaczego on to zrobił — wypytawali teściowie, gdyśmy im to opowiedzieli. Zalamanie psychiczne — tłumaczę i czuję kluskę w gardle. Kryzys twórczy. Od dłuższego czasu nie mógł się odnaleźć. Zresztą to samo jest ze mną i Sławkiem. Kluska nie chce nic a nie ustąpić z gardła. Tak — mówi Sławek — czasami to mam ochotę odkręcić gaz i otruć siebie i babkę. Wiecie co, to może lepiej się rozjeździe! — proponuje Młociakowa. Lepiej w głowę się stuknij! — psykuję Sławek. Ale ta twoja matka to jedza! — konstataję, gdyśmy już wyszli. Na pociechę kupiłam sobie rudą treskę za tysiąc dwieście. Sławek mówi, że wyglądam w niej jak pekińczyk, ale na Cholernie Przystojnym to wywarłam kolosalne wrażenie. Sławek zmienił poglądy, jak spałowałam na nowo walizkę. Teraz ten Kudłaty z Kudłaciną proponują, że bym już lepiej chodziła bez sukienki. Udaję, że nie, a nie słyszę. Tego, że Sławek całował się w SPATIFie z Cyńską też nie. Jem jak najwolniej, bo czekam, że może przyjdzie Cholernie Przystojny. I niechby już przyszedł, bo mi przecież do szczęścia potrzeba tak niewiele. Zamiat Cholernie Przystojnego przyjechał naturalnie Dombek. Z miną bohatera narodowego i męczennika za sprawę. I jakże tu żyć — powiada. Wrócił z tej drugiej strony i koniecznie chce, żeby dostąpił jego garb psychiczny. Ech ty grafomanie — myślę sobie — i mówię: kości zostały rzucone, mój stary! Przecież widzisz, że cały mój najczystszy wdzięki talent oddałam w służbie narodowi. Od prawie czterech lat walczę o człowieka i o zachowanie jego człowieczeństwa. Od niemal czterech lat biegnę, jak dobosz obok spracowanego szeregu — zachłystuję się z radości, że tak ładnie sobie to wymyśliłam. Cholernie Przystojny jak nie ma, tak nie ma. Jeszcze tylko buduję mi został. Dombek pije trzecie piwo i znacząco zerka na swe obandażowane przeguby. Mnie takie demonstracje nie są potrzebne — pocieszam się — bo ja jestem znacznie od niego zdolniejsza. Kudłaciną spogląda na nas z niesmakiem. Do roboty by się wzięli, nie? Do ucziwej pracy, prawda Rysiu? A kołtuny! — krzyczy Dombek. Co mam robić! Nową Hutę za mnie żeś-

WALT WHITMAN

Rozmyślanie

O wierności, skromności i oddaniu;
Stoję na uboczu i patrzę i dziwię się,
Że tysiące ludzi idzie za tymi,
Którzy nie wierzą w ludzi.



Do ciebie

Przechodniu, jeżeli spotkasz mnie
I będziesz chciał ze mną porozmawiać,
Dlaczego nie miałbyś przemówić do mnie?
I dlaczego ja miałbym nie rozmawiać z tobą?



Piękne kobiety

Kobiety siedzą, albo chodzą, młode i stare,
Młode są piękne, lecz stare — stokroć
piękniejsze

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI



cie zbudowali! Pozwolicie, a zbuduje ją od nowa — marzy. Kudłaty rozgląda się dokola, czy kto ważny nie słyszał draki. Żono, to na nas już czas — powiada do Kudłacin. Tak się spieszą, że ona aż puderniczkę pozostawiła na stoliku. Taka elegancka, a puderniczka bardzo marna. I puszek uswiniony. Zamawiamy z Dombkiem kwas chlebowy, bo tylko na to nas stać. I oto przychodzi

nareszcie Cholernie Przystojny. I od razu idzie w moją stronę. I bawi się moimi rudymi lokami. Dombek złośliwie nie splywa. A Cholernie Przystojny wygląda, jak Demon Lermontowa, jak Apollo Belwederski, jak... Przylatuje Sławek. Już od drzwi wymachuje gazetą. To „Walka Młodych ze Starymi” wydrukowała mu wiersze. A mnie od dwóch miesięcy nikt nie chce drukować.

Przeszłość i terazniejszość

Nie dajmy się zwieść tytułowi artykułu Henryka Szuberta „Pierwszy drukarz polskiego pochodzenia” z nr 29/1972 „Odgłosów”. Nie jest prawdą, jakoby tym mianem można było określić dopiero zasłużonego typografa Łazarza Andryszowicza. Wiadomo bowiem od dawna, że podczas kiedy w Polsce podwaliny pod rozwój sztuki drukarskiej kładli zrazu obco krajowcy, gdzie indziej podobna rola przypadła właśnie Polakom. Polski drukarz imieniem Jan Adam z Polski działał w 1474 r. w Neapolu, w spółce z tamtejszym przedsiębiorcą Mikolajem Jakubem de Luciferis, oraz weneckim księgarzem Mikolajem Benedetti. Znane są druki sygnowane jego imieniem. Okoliczność, że polski typograf obrał to właśnie miasto włoskie za swoją siedzibę nie jest bynajmniej dziwna w świetle niedawno, (1969) ujawnionych informacji o wale licznnej kolonii polskiej, która znajdowała się tam jeszcze w połowie XV stulecia za panowania

Alfonsa V Aragońskiego o przydomku „Il Magnanimo”, króla Aragonii, Walencji, Sycylii, Sardynii a wreszcie i Neapolu, monarchy uznanego przez współczesnych i potomnych za wzór władcy humanistycznego. Przez Neapol wiodła też droga innego polskiego drukarza, który najpierw pracował tam w drukarni Macieja Morawczyka, następnie zaś wraz z Meinardem Ungutem podążył do Sewilli — Stanisława Polaka. Rozpoczęli oni wspólnie działalność typograficzną w tym mieście z początkiem 1491 r., skoro już 14 lutego tego roku ukazała się ich pierwsza publikacja: dzieło teologiczne autorstwa Diega de Deza. Musieli stosunkowo szybko wyrobić sobie w Sewilli pewną pozycję, skoro 14 marca tego samego roku udało im się uzyskać od Ferdynanda i Izabelli Hiszpańskiej dokument zwalniający ich od udziału w wojnie z Maurami. Stanisław Polak prowadził swoje przedsiębiorstwo najpierw z Ungutem, potem w

spółce z innym drukarzem, o nazwisku Cromberger. Od 1502 roku drukarnia została przeniesiona z Sewilli do Alcala. Stanisław sygnował swoje druki imieniem nieraz w bardzo skazanej postaci: Stanislaus, Estanislaus, Ladislaus, Lanzalauz itd., co świadczy, że nie przywiązywał zbyt wielkiego znaczenia do jego poprawnej pi-

tywizmu — A. Pawiński (1882), który w swoich naukowych wędrówkach zawadził o ziemię hiszpańską; interesował się nim krakowski profesor archeologii J. Lepkowski (1882), później nieco szczegółów dorzucili wybitny historyk kultury — J. Ptański (1922) i M. Łodyński (1948). Z uczonych obcych, którzy zwrócili swoje zainteresowania w stronę

skiego pochodzenia, myśli mi przede wszystkim o tych dwóch: Janie Adamie z Polski i Stanisławie Polaku. Nie oznacza to jednak, by byli oni na pewno jedynymi tylko Polakami, którzy w końcu XV stulecia, w dobie inkunabułów, parali się sztuką drukarską. Nauka o książce proponuje raz po raz różne hipotezy, jak np. tę, że z obszarów monarchii jagiellońskiej pochodził drugi z kolei drukarz angielski imieniem Jan „de Letton”, działający w latach 1480—1482. Jest to jednak tylko domysł, który wymaga krytycznej weryfikacji, której jak dotąd nie przeprowadzono.

JÓZEF GRZELAK

Nie można więc — jak to uczynił H. Szubert — dopiero Łazarza Andryszowicza określić mianem „pierwszego samodzielnego drukarza polskiego pochodzenia”. Znacznie wcześniejszy Stanisław Polak był przecież przez jakiś czas drukarzem niechybnie samodzielnym. Nie można — jak w tytule artykułu — powiadać o Łazarzu, jako o w ogóle „pierwszym drukarzu polskiego pochodzenia”, skoro dowodnie takim właśnie po-

O pierwszych polskich drukarzach

Stanisława, najwięcej zdołał zbadać A. Ruppel, autor doskonałej monografii o polskim typografie w Hiszpanii, ogłoszonej najpierw po niemiecku (1946), ostatnio zaś opublikowanej w rozszerzonym i uzupełnionym tekście w tłumaczeniu polskim. Jeżeli więc mówimy o pierwszych drukarzach pol-

skich, najpierw należy wspomnieć o Stanisławie Polaku, drukarzu hiszpańskim, napisano bardzo wiele. Zajął się nim niedługo wybitny warszawski historyk doby poz-

P.S. Polemizuję z tytułem i jednym tylko sformulowaniem w tekście artykułu H. Szuberta, które uważam za bezzasadne; nie odnosi się to w żadnej mierze do całości artykułu, który przypominał mało znaną postać zasłużonego polskiego typografa z XVI stulecia i zwrócił uwagę na jego związek z naszymi stronami.

LAUREACI NAGRÓD WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ

Każdego roku, w lipcu, Wojewódzka Rada Narodowa przyznaje nagrody za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury, techniki, racjonalizacji i wynalazczości oraz za wybitny wkład pracy naukowej w rozwoju społeczno-gospodarczym województwa łódzkiego. Za tymi sformułowaniami regulaminu dorocznych nagród kryją się konkretne dokonania, wieloletnia praca i działalność twórcza ludzi, którzy do dorobku Ziemi Łódzkiej wnieśli i wnoszą swój osobisty wkład.

W tym roku laureatami nagród WRN zostali: EDWARD SIEKOWSKI — dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łodzi, JANINA PRZYBOREK i MIECZYSLAW ŻEGLIŃSKI — twórcy ludowi z powiatu rawsko-mazowieckiego, LESZEK RÓZGA — artysta plastyk, ZYGMUNT SIKORSKI — racjonalizator i wynalazca, pracownik ZPB „Boruta” w Zgierzu oraz prof. dr TADEUSZ OLSZEWSKI — zastępca dyrektora Instytutu Geografii Uniwersytetu Łódzkiego.

Serdecznie gratulując laureatom zaszczytnego wyróżnienia przedstawiamy ich sylwetki.

EDWARD SIEKOWSKI

Od ponad 22 lat aktywnie uczestniczy w kształtowaniu życia kulturalnego województwa. Jeszcze na po-



czątku lat pięćdziesiątych, jako działacz Wydziału Kultury, położył duże zasługi w popularyzacji sztuki ludowej Ziemi Łódzkiej. Organizował wówczas pierwsze w kraju wystawy i festiwale sztuki ludowej — zapoczątkował także systematyczną, trwającą do dziś opiekę nad twórcami. Wspólnie z nieżyjącym już dziś prof. Michałem Orliczem, był założycielem

Wojewódzkiego Ludowego Teatru Objazdowego Ziemi Łódzkiej. Był również inicjatorem wyjazdowych spektakli łódzkich teatrów na terenie województwa. Jako bibliotekarz i dyrektor WBP rozpoczął współdziałanie placówek bibliotecznych z organizacjami społecznymi i miejscowym aktywnym kulturalno-oświatowym. Z jego to inicjatywy powstały w naszym województwie koła przyjaciół bibliotek, które stały się wzorcem dla innych regionów kraju. Dzięki sprawnej organizacji i racjonalizacji wielu prac bibliotecznych województwo łódzkie, chociaż posiada najniższy wskaźnik etatów i ilości zbiorów, osiągnęło wyższe od krajowych wskaźniki czytelnictwa. Dzięki osobistemu zaangażowaniu Edwarda Siekowskiego powstał w województwie ośrodek korespondencyjnego kształcenia bibliotekarzy. Warto dodać, że laureat od lat jest przewodniczącym Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

JANINA PRZYBOREK

Urodziła się i mieszka do dziś we wsi Zakościele w powiecie rawsko-mazo-

wieckim. Jest znaną i cenioną twórczynią ludową i działaczką społeczną. Jej hafty, tkaniny i wycinanki oceniano zawsze bardzo wysoko na wszystkich konkursach. Janina Przyborek czynnie i aktywnie uczestniczy w imprezach organizowanych przez „Cepelię”, z którą od lat współpracuje. Poza tym jest energiczną działaczką społeczną, cieszącą się zaufaniem otoczenia — dość powiedzieć, że przez pewien czas — pełniła funkcję sołtysa w Zakościele. Oprócz twórczości ludowej i działalności społecznej Janina Przyborek napisała również sce-



nariusz widowiska folklorystycznego „Wesele w Zakościele”, utrwalającego stare, zapomniane już obyczaje ludowe. W widowisku tym, wystawionym w rodzinnej wsi, laureatka brała udział wraz z mieszkańcami Zakościała. Scenariusz stanowi ciekawy dokument obyczajowy i znajduje się w zbiorach tomaszowskiego muzeum.

MIECZYSLAW ŻEGLIŃSKI

Utalentowany rzeźbiarz ludowy z powiatu rawsko-mazowieckiego. Rzeźbił od roku 1962, a jego udział w wystawie sztuki ludowej regionu rawskiego był autentyczną rewelacją artystyczną. Od tego czasu datuje się dynamiczny rozwój talentu Żeglińskiego. Staje się czynnym i aktywnym twórcą ludowym i działaczem, upowszechniającym sztukę regionu. Jego udział we wszystkich konkursach i wystawach na terenie kraju, a także poza granicami, przyniósł mu zasłużony rozgłos



i nagrody w dziedzinie rzeźby. Na międzynarodowej wystawie sztuki ludowej w Wiedniu był jedynym reprezentantem twórczości rzeźbiarskiej Polski. Mieczysław Żegliński swoje prace dostarcza zagranicznym placówkom „Cepelii” — dzięki czemu jego prace znane są mieszkańcom Nowego Jorku, Paryża i Brukseli.

LESZEK RÓZGA

Wybitny artysta-plastyk, docent w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Członek Ogólnopolskiego Komitetu Obronców Pokoju. Swoje prace ekspozował na 30 wystawach indywidualnych w kraju. Otrzymał 28 nagród i wyróżnień na wystawach i konkursach. Jest, m. in. laureatem I Nagrody Ministra Kultury i Sztuki w roku



1969 oraz otrzymał Nagrodę III Stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki za twórczość plastyczną w roku 1971. Leszek Różga jest także aktywnym działaczem ZPAP, w którym od roku

1957 pełni poważne funkcje w Zarządzie Głównym i Zarządzie Okręgu. Urodzony i do dziś zamieszkały w Zgierzu, poświęcił mu wiele miejsca w swych pracach — to miasto było tematem wielu jego obrazów i grafik. Ogromny dorobek artystyczny Leszka Różgi stanowi niezaprzeczalny, wartościowy wkład w kulturę narodową i kulturę jego ziemi rodzinnej. Grafiki i obrazy Różgi wystawiane były m. in. w Tokio-Osaka, Moskwie, Lugano, Florencji, Madrycie, Bragford, Wiedniu i Oslo. W dorobku artysty wymienić trzeba także jego udział w szeregu wystaw na terenie województwa łódzkiego — indywidualne ekspozycje grafiki w Pabianicach, Tomaszowie, Piotrkowie.

TADEUSZ OLSZEWSKI



Naukowiec, profesor nadzwyczajny UL, zastępca dyrektora Instytutu Geografii i kierownik Zakładu Geografii Ekonomicznej, przewodniczący Rady Naukowej Prezydium WRN.

Prof. Tadeusz Olszewski jest członkiem wielu organizacji społeczno-zawodowych, bierze czynny udział w pracach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju, Komitetu Nauk Geograficznych PAN i wielu innych rad naukowych. Od lat związany z problemami społeczno-gospodarczymi województwa znany jest jako popularyzator wiedzy o Ziemi Łódzkiej. Z jego inicjatywy podjęto szereg badań, istotnych dla rozwoju regionu. M. in. dotyczy one ochrony naturalnego środowiska człowieka. Jest redaktorem czasopisma naukowego „Region

łódzki — studia i materiały”, pracuje w komisji planowania, budżetu i finansów WRN. Od roku 1949 prof. Tadeusz Olszewski prowadzi wykłady i współpracuje z ośrodkami metodycznym geografii woj. łódzkiego, wyklada również geografii ekonomiczną i polityczną na łódzkim WUML-u. Dzięki prowadzonym badaniom przyczynił się w poważnym stopniu do pogłębienia wiedzy o problemach społeczno-gospodarczych Ziemi Łódzkiej. Jego wiedza i doświadczenie przyniosły gospodarce województwa wiele korzystnych efektów.

ZYGMUNT SIKORSKI

Pracownik ZPB „Boruta” w Zgierzu — brygadzysta ślusarzy remontowych, z zawodu ślusarz. Jego dotychczasowy dorobek racjonalizatorskiej stanowia 43 projekty usprawnień, opracowywane od roku 1953 i zastosowane w ZPB „Boruta”. Racjonalizatorskie prace Sikorskiego dotyczą usprawniania eksploatacji kotłowni, wykorzystania tzw. ciepła odpadowego i poprawy warunków pracy. Mają one wpływ na racjonalne wykorzystanie wody technologicznej i wpływają pośrednio na zmniejszenie zapylenia atmosfery. Zrealizowane już projekty racjonalizatorskie Zygmunta Sikorskiego przyniosły ponad milion złotych oszczędności. Wśród kolegów i współpracowników pracy cieszy się szacunkiem i uznaniem, jako dobry organizator, sumienny i ofiarny pra-



cownik. Mieszkańcy Zgierza już trzecią kadencję wybierają go do Miejskiej Rady Narodowej. Jest członkiem Rady Robotniczej ZPB „Boruta”.

artyści w czasach, w których żyjemy, ogarnięci są niepewnością, zwątpieniem lub okrucieństwem. „Niedawno siedmiu mężczyzn z plemienia ludożerców zjadło przyjaciela zabitego w bitwie. Sędzia australijski z Sądu Najwyższego Papui Nowej Gwinei orzekł w tej sprawie, że według zwyczajów plemiennych nie była to zbrodnia i sprawę umorzył, co uznano za decyzję niezwykle rozsądną”. Retrospektywne wystawy Jocz i Kabaly*, gdy spojrzę nań bez uprzedzeń, okiem sędziego australijskiego, a także bez scenyficznego dociekliwego nakazującej widzieć dziurę w całym, zawierają w sobie wartość podkreślenia treści romantycznej. W swej pomysłowości Jocz i Kabala są komiczni i patetyczni zarazem. Andrzej Jocz za pomocą prętów i żywicy poliestrowej usiłował wymajsterkować raketę, dom i manekin człowieka; zaś Andrzej Kabala uczy się anatomii kobiet, które modeluje w jakąś ogólną metaforę. Wątek ekshibicjonistyczny jest dla tego artysty elementem nostalgicznej wizji świata, jednoczącej to, co w naszej cywilizacji cerebralne — z tym, co przypadkowe i co buduje pejzaż urbanistyczny. Widoki miast, plaż i boisk, wizerunki ludzi, a także rysunki samolotów, samochodzików i ptaków z encyklopedii, w połączeniu i w rzeczach rozłożonych na sprzeczne elementy, jakby podświetlonych promieniami Rentgena, demaskującymi ich fałszywą ładność.

Od litografii Kabaly do rzeźb

Jocza nie jest daleko. Warto wspomnieć co ich łączy. Otóż litografie Kabaly obracają się w sferze „Samo życie, ludzie i Kosmos”; znak wprawiono w ciągły ruch „znak jest więzkiem możliwości, a nie twardym ośrodkiem”, od razu nie umiemy ustalić jego znaczenia, „jak nie możemy ustalić miejsca elektronu, tylko zagęszczenie możliwości jego pojawiania”. Źródłem projekcji nie jest harmonia, lecz spór, nie pewność, lecz zwątpienie — wszystko jest przekładane na symbole. Jego litografie najczęściej konstruują sceny wyposażone w określone stany uczuciowe, nakierowane ku — równie wyraźnie zarysowanej — partnerce. („W Twoje Trzydzieste Urodziny” — litografia, 1971 r.). Gra między dwoma partnerami występuje tu z całą oczywistością; symultaniczne przemieszczanie wyobrażeń z zakresu sportu i techniki, kultu erotyzmu i polityki.

Jocza z Kabalą łączy zasada „czystego warsztatu” oraz podmiowanie wizji seksem. Stosowana na płytkach wodoodpornych ze sztucznego tworzywa technika reliefu, w połączeniu z fragmentami polichromowanymi, daje w całości kompozycję jednolitą i barwną („Ślady” — 1967/68).

„Trudnoosiągalną” popularność zyskał Jocz służąc w grupie KONKRET. Aranżuje ONA różne sytuacje — wystawy od 1970 roku. I znowu — nie ma czym się zdumiewać. Przecież wiadomo, że z grupą wszystko można zdobyć. Wystarczy tylko umieć szukać. Oczywiście, że wpływowi artyści

KONKRETU wnieśli wiele do twórczej precyzacji tego, czym był za życia Strzemińskiego, czym być powinien ruch artystyczny w latach siedemdziesiątych XX wieku w Łodzi. Nikt temu nie zaprzecza.

Śledząc osiągnięcia doby obecnej „konkretowców”, można by zaryzykować ocenę, że wskaźnik „nowatorstwa” ich twórczości klasycznie. Retrospektywa Jocz

dane stają się po prostu instrumentami pozbawionymi wszystkich cech intymnych.

Koronnym zarzutem, jaki stawiam artystyce w r. 1972 jest jego postawa neoromantyczna, operująca z jednej strony zbyt nklką ilością przesłanek empirycznych, z drugiej zaś zbyt wielką dowolnością w interpretacji otrzymanych przez siebie wyników z formowania — regulacji żywicy

tego formy zaokrąglone przywiodą na myśl plodność i dojrzałość, że taką formę ma Ziemia, pierśi kobiece i większość owoców, a kształty owe są dlatego tak ważne, że takie właśnie mają podłoże w naszych nawykach percepcyjnych. Myślę, że w rzeźbie fundamentalne znaczenie mieć będzie dla mnie zawsze element humanistyczny, organiczny, który jej udziela swojej sily witalnej”.

Te słowa Henry Moore’a są jeszcze trafniejsze niż przed 30 laty. Słuchacz otwiera oczy, i znowu jako jedyny odpowiednik, symbol wzrokowy estetycznego doznania, podane mu są — na ekspozycji rzeźby Andrzeja Jocz — formy zaokrąglone, ROBOTÓW, DOMÓW, WIEŻOWCÓW, czy śmiesznie powiewające pręty z zielonokulasto zakończonymi wierzchołkami, niby anteny PR i TV umocowane na dachach prawdziwych domów.

Sztuka dosięga już prawie zenitu swych możliwości. Rozwój idzie w najróżniejszych kierunkach: environment, festyn, zabawa ludowa, życie codzienne, nowe środki przekazu, psychoterapia, igraszki arkadyjskie Nowych Realistów etc. Normalną i zdrową tendencją jest szukanie postępu na drodze artystycznych syntez.

Jocz i Kabala pozostali na brzegu naszego świata rozdwojonego. I trudno odmówić im słuszności, trafności i dowcipu.

* Łódź, Salon Sztuki Współczesnej, Piotrkowska 86 — lipiec-sierpień 1972.

ANTONI SZRAM

JOCZ & KABALA

zdaje się potwierdzać. Nazywa swe rzeźby: „domami”, „gmaciami”, „wieżowcami”. Być może przypominają one projekty architektoniczne o organicznych kształtach; lecz kto to zrealizuje? Otóż on sam przywłaszcza swoim rzeźbom — robakom i rzeźbom — robotom ciało zmysłowych kobiet. Czekają jednak nieuchronnie rozczarowanie w tej sytuacji (bo żonaty!), ciała kobiet tylko oglą-

poliestrowej. Przeszarzałe to struktury, z uporem rozwiązywane, ustawiają tę sztukę jako nieszkodliwy obiekt działalności marginalnej.

„Mam głębokie przekonanie, że w rzeźbie wielką rolę grają czynniki asocjacyjne, psychologiczne. Prawdopodobnie sens i znaczenie samej formy zależy od niezliczonych skojarzeń uwarunkowanych historią człowieka. Zapewne dla-

Lawina spływające informacje o sytuacji wewnętrznej kraju, w prasie, w dziennikach telewizyjnych, artykuły, wywiady, reportaże, cytaty z przemówień, komentarze. Trudno doprawdy pisać o tym obserwatorowi, który niewiele w sumie wie o źródłach i przyczynach napięć, jeszcze mniej orientuje się w zawiłym splocie obecnych tarć społecznych i narodowościowych, które stały się problemem pierwszym dzisiejszej Jugosławii. Co skutkiem, co przyczyną obecnego stanu rzeczy, wysokiej temperatury, która w sensie dosłownym rozpala umysły, burzy krew, zacieśnia. Czy kraju zwrócone na Chorwację, na Zagrzeb, gdzie przynajmniej od szeregu miesięcy ogisną się wrzenie. Nie tylko tutaj istnieją punkty zapalne. Czytam np. o wystąpieniach "tudenckich" w uniwersytecie Pristinie, w stolicy okręgu autonomicznego Kosowa i Metochiji, w którym znaczny odsetek ludności to Albańczycy, także gdzie indziej ujawniają się konflikty, pretensje, rozszczenia. Lecz centrum niepokojów mieści się w Zagrzebiu. Fala demonstracji studenckich, które w tym mieście osiągnęły swoje apogeum właśnie w tych dniach, w ślad za nią — aresztowania łącznie z konfiskatą broni, m. in. w jednym z zagrzebskich domów akademickich. To wszystko niesłychanie bulwersuje opinię publiczną. Nastąpiły zmiany na stanowiskach w KC Chorwackiej Partii Komunistycznej, odeszło wielu ludzi ze szkol wyższych, redakcji czasopism i wydawnictw, z instytucji kulturalno-oświatowych. Dymisje, odwołania. Kilka dni temu byłem w Zagrzebiu. Nie rozmawiałem wprawdzie z nikim o tym, co się dzieje, ale sam wygląd ulic przemawiał dostatecznie wymownie. Zdawało mi się, że spokój jest pozorny w gruncie rzeczy i w każdym momencie może zamienić się w swoje przeciwieństwo. W miejscach, oddalonych od śródmieścia, na parkach, na chodnikach, odczytywałem niby — apel, niby — wezwanie o takiej treści: „Studenci, jesteście naszą nadzieją! Nie umiałbym powiedzieć, kto ukrywał się pod „my” i z czym, z kim właściwie, wiązano tę „nadzieję”. Podłożem wszystkich tych objawów scilicet wystąpienie, mimo innych motywów i metod działania, idea integrująca te poczynania, były i są w dalszym ciągu tendencje separatystyczne, wynikające z wybujałego nacjonalizmu. Pewne sily w Chorwacji zmierzały np. do oderwania tej republiki od federacji i utworzenia samodzielnego

STANISŁAW KASZYŃSKI

(III)

Z zapisków jugosłowiańskich



Prof. Džordžie Živanović

państwa. Ten szalony zaiste pomysł rozgrzał wyobraźnię jakiegoś satyryka, napisał i narysował, iż komitet blokowy (jakiś numer) prosi o przyjęcie do ONZ. Oczywiście, ten nacjonalizm ma barwę antyserbską, zaś pewne przejawy nacjonalizmu serbskiego mają akcenty antychorwackie itd. W tym miejscu trzeba by przejść do obszernego wykładu, żeby chociaż pokrótce objaśnić te zawiłe i bolesne zagadnienia. Powiedzmy jedynie, że w tych konfliktach odzywa się dalszy i bliższy czas historyczny, na tyle żywy i dynamiczny, iż długie lata wspólnoty nie wyeliminowały zupełnie różnego rodzaju animozji. Wiele na te tematy rozmawiam i powtarzam moim przyjaciółom jedno: Jugosławia to wspaniała i wielka rzecz, to winno być formułą nadrzędną, jednoczącą. Opisać wreszcie wypada dom, w którym mieszkam, rodzinę, która mnie z taką serdecznością przyjęła i darzy gościnnością. Jej zawdzięczam, że zostanę w Belgradzie całe dwa miesiące. Przy tutejszej drożyznie i cenach za mieszkania, zwłaszcza dla cudzoziemców, moje fundusze star-

czyłyby ledwie na trzy tygodnie: takie oto otrzymujemy stypendia, przecież nam zazdrościsz! Dom mocno nadzarpanięty zębem czasu. Nie pozwalają remontować, gdyż tędy ma przechodzić wiadukt. Wnętrze — pyszne. Wszystko gwarantuje, że stareńkie i przyjazne dla człowieka o mentalności lirycznej, nawet surowa belka, podtrzymująca ciepły strop. Zachwycają się tą belką ku prawdziwemu strapieniu moich gospodarzy, radzi by ją schować, zasłonić, przemienić w kolumnę powietrza, a ja ciągle: Kochani, toż to niebylewałe, gdzie indziej mógłbym rozkoszować się czymś równie niecodziennym. Nie wierzą absolutnie, mnie zaś cieszy, bo przerasta wyobraźnię. Pewnej niedzieli wiało okropnie wietrzysko, zwane koszarą. Oj, zły to wiatr, działa przy tym wręcz przynębiająco — niczym ów przedwojenny szlagier „Ta ostatnia niedziela”, tango samobójców. Przyszedł sąsiad z przeciwka, mówi, że koszarą obsuwała kilka dachówek, Konsternacja, gdyż na ten moment zdążyła nadejść nasza Anica, właścicielka domu, osoba niezwykłych „przymiotów (brak przymiotników). Widząc po moich oczach, że już się palę na strych, błaga: „Stanislave, nemojete!”, co by z grubszą oznaczalo — „Na litosć Boska, niech pan wybijie sobie to z głowy”. Od czasów dziecinstwa bodaj czy byłem na strychu, jakże sobie mogłem odmówić tej przyjemności. Wdrapałem się po drabinie i pousuwałem skutki figlów koszar. Belka, dachówki i — książki. W kilku językach, dużo tureczyny i arabszczyzna, ponieważ córka pani Anicy jest specjalistką od tych języków. Maż tej pani, wyższy urzędnik planowania, jej syn, oraz pies, dal-

matyfczyk „Pongo” dopełniali zespół mego belgradzkiego domu.

Właściwie mieszkaliśmy we trójkę, nie licząc psa, bowiem małżeństwo przychodziło na obiad, pani wcześniej: udzielała lekcji z większości przedmiotów kilku licealistom, przygotowującym się systemem pozaszkolnym do matury. W Jugosławii ten tryb zdawania egzaminów dojrzałości (również zaliczania kolejnych klas), bez chodzenia do szkoły, jest możliwy, jakkolwiek dostępny dla ludzi nieco zamożniejszych, gdyż za egzaminy płaci się słono, np. za egzamin maturalny coś kilka tysięcy złotych (w przeliczeniu). Wydaje mi się, iż wytwarza to swoistą elitarność, nie tyle może intelektualną, co pecuniarną. Srdzia (syn) też tak przygotowuje się do matury, bez żadnej pomocy matki. W ogóle ten zapisek pragnę poświęcić jemu. Zartobliwie nazywam go „królewiczem Marko” (od nazwy ulicy, przy której mieszkamy) albo „geniuszem serbskiego narodu”. O ile pierwszy przydomek nie miał większego uzasadnienia, chociaż ze względu na jego raczej tolerancyjny stosunek do ustrojów monarchicznych, nie wywoływał sprzeciwu, o tyle drugie nazwanie było bliskie prawdy, troszko cum grano salis. Niezwykły to chłopiec. Odbarzony tyłoma talentami, iż w głowie się kręci: pisze, gra, rysuje, zna wyborne angielski, francuski i polski, wiedzę ogólną ma wręcz imponującą, zdumiewa dojrzałością poglądów na różne sprawy. Wczoraj dał mi do przeczytania rozprawę maturalną na temat upadku III Rzeszy. Ponad pięćdziesiąt stron maszynopisu, kilkanaście pozycji bibliograficznych, szereg w obcych językach. Miał zamiar pisać na temat najnowszej historii Polski, nie było wszak takiego tematu do wyboru. Najbardziej pasjonują go historia i polityka, to jego najmniejszą i obsesję, w tych dziedzinach jest bezkonkurencyjny: encyklopedia w siedemnastu „latach. Chce studiować na Sorbonie nauki polityczne. Osobny rozdział to jego sentyment do Polski. Był u nas kilkakrotnie, zawsze nie zapowiadany, po raz pierwszy mając lat czternaście. Przyjechał oczywiście sam, zwiędził pół kraju, częściowo autostopem. Bodaż w czasie drugiego pobytu byłem z nim i z córką m. in. w Oświęcimiu. Prosił mnie o ten wyjazd, przeżył ten dzień głęboko. Kiedy był w Polsce, niewiele czasu mogłem mu poświęcić, toteż brał tom za tomem encyklopedii, czytał całe dni, zarywał noce. Nie raz bywałem w tarapa-

tach, gdy pytał z dociekliwością badacza o szczegóły. M. in. zainteresował się biografią Marszałka Piłsudskiego, zresztą historię Polski zna tak wyśmienicie, iż mógłby podpowiadać na egzaminach wstępnych. Dreczy mnie atoli myśl, co mu przyniesie przyszłość. Bo to wśród nas, Słowian, o talenty może nie tak bardzo trudno, lecz gdzieś potem rozmiękną się, rozsiewają. Znam takiego między Bałtykiem, a Tatrami. W granicach siedemnastki był najlepszym znawcą w kraju literatury amerykańskiej, a dzisiaj... przestał się zapowiadać.

W końcu grudnia — Pewnych miejsc, instytucji, problemów — nie sposób sobie wyobrazić bez konkretnych ludzi, którzy je oznaczają, stanowią o charakterze, są duchem, myślą, symbolem. Belgradzka polonistyka zrosła się tak do-korzennie z prof. Dž. Živanovićem, iż pisanie o niej sprowadza się po prostu do przepowiadania biografii Profesora. Losy zetknęły nas stosunkowo dawno, nie miałem jednak dotąd okazji pisać na ten temat, na temat, by posłużyć się trawestacją tytułu — romansu z Polską. Mam przed sobą spis prac profesora: siedem stron gęsto zatłoczonego maszynopisu — artykuły, recenzje, szkice, studia, książki — oraz dwie strony tytułów przekładów poezji, powieści, opowiadań, dramatów, Dorobek imponujący, mierzony liczbami — kilkaset pozycji, szereg z nich (przekłady) wielokrotnie wznawianych, jak np. „W pustyni i w puszczy”; od 1953 do 1972 ponad dwadzieścia wydań. Jest to jedyny utwór polski, który jest obowiązkową lekturą szkolną. Prezentację zacząłem właściwie od końca, jakby w pośpiechu, może i dlatego, iż tym akcentem ogólnym chciałbym od razu określić zakres i rangę osiągnięć. Narastały one w ciągu kilkudziesięciu lat. Ów flirt zaczął się w ławie studenckiej, pod wpływem wykładów prof. Kosuticia, wielkiego miłośnika i znawcy literatury polskiej. Choć przed laty, Profesor wspomina z rozrzewieniem wspaniałego jego księgozbiór poloników, jego żarliwy sentyment do Emila Zegadłowicza, którego teksty cytował na pamięć. Potem przyszły warszawskie studia, do wiosny 1933. Już jako student prof. Živanović tłumaczył „Homo sapiens” S. Przybyszewskiego, co było niewątpliwie po części powieleniem zainteresowań nauczyciela. Ten przekład nie zachował się, natomiast oglądałem, że czcził z przepaści biurka wyjęty, numer czasopisma „Radio Belgrad” z 7 stycz-

nia 1934, w którym opublikowano pierwszą lekcję języka polskiego; był to przedruk półgodzinnych pogadek, wygłaszanych co tydzień (czwartek!) przed mikrofonem, cieszyły się ogromną popularnością. W roku 1935 wyszedł praktyczny podręcznik języka polskiego.

Był asystentem prof. P. Popovicia — serbskiego Kleinera — Profesora coraz więcej czasu i serca, nie zanedbując jugosłowianistyki, uczęca pro lemom naszej literatury. Szczególnie, co czyni nadal, pasjonowały go związki między pisarzami obu narodów i ślady wzajemnego oddziaływania na gruncie literackim, żywe co najmniej od stulatkudziesięciu lat. Ukoronowaniem tych dociekań była obszerna książka „Serbowie i literatura polska”, wydana w r. 1941. Obejmując całe dzieje tych szeroki i niejednokrotnie bliskich powiązań, znając je zresztą wybornie aż do najdrobniejszych faktów i zdarzeń, widocznym uprzywilejowaniem darzy epokę Mickiewiczowską. Niejednym artykułem i przekładem złożył mu hold, tłumacząc m. in. bardzo wcześnie prozę i w skrócie „Pana Tadeusza” (1934). Ale tłumaczył i W. Perzyńskiego i M. Dąbrowską i J. Iwaszkiewiczą, z dramaturgii S. Mrożka („Tango”, „Świątowa prapremiera”), T. Karłowicza i J. Lutowskiego.

To, o czym piszę trybem pobieżnym, dotykając ledwie powierzchni, jest częścią działalności, odnosi się do pracy naukowo-badawczej i pisarskiej. Mniej wymierny, gdyż w innych jednostkach się przelicza, jest trud dydaktyczny, trwający tyleż bez mała lat. Najnowszym dokonaniem w tej dziedzinie jest wydany w zeszłym roku podręcznik „Język polski w 100 lekcjach”. Czy ktoś u nas recenzował tę książkę? Wreszcie wspomnieć trzeba, że jest szefem belgradzkiej polonistyki.

Odczytuję tę informację: jakaś sucha i niepełna, jakby wyrwana gdzieś w połowie kartka z leksykonu, pozbawiona istotnych barw elementów, które wszakże — to na pocieszenie! — dostarcza się dopiero w obcowaniu bezpośrednim. Ten brak musi zastąpić uwaga dopełniająca ten wizerunek. Uwaga, niestety, gorzka: człowiek tyłu bezspornych zasług dla polskiej literatury i kultury jest u nas niemal nieznanym. Od wielu lat nikt go do Polski nie zaprasza, jeżeli przyjeżdża — to jedynie na własny koszt. To również człowiek, który nie otrzymał za swą żarliwą działalność ni nagrody ani odznaczenia. Naturalnie od nas.

MIECZYSLAW STOLARSKI

Z WOLEJA

PIERWSZE MEDALE

Impreza dobiegała właśnie końca. Pałac Sportowy wypełnił się sportowcami w różnokolorowych dresach, którzy po sześciu dniach zmagania na łódzkich boiskach i salach gimnastycznych, za parę godzin, mieli się rozjechać do domów. Medaliści reprezentowali swoje ekipy na uroczystości zamknięcia VI Ogólnopolskich Letnich Igrzysk Młodzieży Szkolnej. Ci, którym się nie poszczęściło, zajęli miejsca na trybunach, z zazdrością patrząc na swoich udekorowa-

nych kolegów. Powszechną uwagę wszystkich zwracała dziewczynka, stojąca na czele ekipy Katowic. Na jej szyi widać było aż cztery medale — trzy złote i jeden brązowy, rzecz raczej niezwykła na wszelkich zawodach. To Sabina Dureczok, 12-letnia gimnastyka z Rudy Śląskiej, najlepsza nie tylko sportsmenka, ale i uczennica VI IMS. Szybko też stała się „gwiazdą” Igrzysk. Kiedy wraz z kilkoma kolegami zwróciliśmy się do niej o rozmowę, była bardzo speszona. Szybko

jednak doszła do siebie i całkiem pewnie odpowiadała na pytania. Jedno z nich, zresztą stereotypowe, pamiętam do tej pory, że względu na odpowiedź, jaka po nim padła. Chodziło o najbliższe plany.

— Teraz po trzydniowej przerwie wznawiam treningi. Muszę trenować cztery godziny dziennie, aby utrzymać się w formie i czynić postępy. Potem pojedę do Monachium (nagrada ministra oświaty i wychowania Jerzego Kuberskiego dla najlepszego ucznia i zawodnika Igrzysk) i będę tam chciała obejrzeć gimnastykę, bowiem za cztery lata chcę jechać na Olimpiadę, ale już jako zawodniczka. Muszę więc podpatrzyć, co się w konkursie olimpijskim dzieje...

Zwiedzając tereny zmagania sportowców, uczestniczących w VI IMS różnie spotykałem obrazki charakterystyczne dla sportu, gdzie są i wygrawajacy ale są również przegrani. Nie wstydzono się więc też, którym obficie rozsono każdą porażkę. Były to ogromne przeżycia i dramaty, był ogromny wysiłek setek młodych organizmów, była wreszcie ogromna ambicja — to czego często nie widzimy oglądając zmagania zawodni-

ków starszych. Młodzież, którą oglądaliśmy w Łodzi nie została jeszcze skażona bakcylem rutyny, jej reakcje były autentyczne i dlatego tak piękne zarówno w swojej radości jak i rozpaczy. Sład każdy, kto w jakiś sposób żył tą imprezą, był w nią zaangażowany, w momencie jej zakończenia czuł, że jest jej żal, że skończyło się coś pięknego.

Nie bez kozery Igrzyska te nazywane są Igrzyskami przyszłych olimpijczyków. Mają one bowiem za zadanie wyłonić z milionowych rzesz młodzieży tych, którzy są najbardziej uzdolnieni sportowo, by przez właściwą opiekę doprowadzić ich do reprezentacji Polski. Jak do tej pory cel ten został osiągnięty, medaliści pierwszych Igrzysk Młodzieży Szkolnej, jak chociażby łodzianin, Wagner, niedługo wyjadą do Monachium na Olimpiadę. A jeszcze kilka lat temu startowali w Olsztynie, Warszawie zdobywając pierwsze medale w rywalizacji ze swoimi szkolnymi kolegami.

VI łódzkie Igrzyska Młodzieży Szkolnej przyniosły gremialny sukces reprezentantom Katowic i Warszawy, czyli uznanym potentatom

nie tylko w sporcie szkolnym. Obie ekipy wyprzedziły pozostałe o 300 pkt. co świadczy o ich zdecydowanym priorytecie. Oba te ośrodki od dłuższego czasu dostarczają reprezentacji Polski największą ilość zawodniczek i zawodników, a władzom szkolnym, nauczycielom i uczniom Śląska oraz stolicy należało się duże brawa za postawienie sportu szkolnego na tak wysokim poziomie.

My — łodzianie — możemy tylko zazdrościć. Na własnym terenie reprezentacja naszego miasta zajęła najgorsze w historii dotychczasowych Igrzysk miejsce — dopiero 11. Na osłodę uczestnicy gremialnie podkreślali, że osiągnęli inny sukces — organizacyjnie, ale przecież to jeszcze nie wszystko. Liczą się przede wszystkim wyniki uzyskiwane na boisku, a tych Łódź nie miała wiele. Szczególnie martwi brak wyników w tak podstawowych w szkole dyscyplinach jak lekka atletyka, gimnastyka i pływani. Tutaj ponieśliśmy zdecydowane porażki, zajmując końcowe miejsca w tabelach za poszczególne konkurencje. Złe się dzieje w łódzkim sporcie szkolnym, a wyniki na VI IMS winny spowodować wreszcie przyzwolną analizę

stanu posiadania łódzkiego sportu szkolnego i wyciągnięcie z tej analizy właściwych wniosków. Z roku na rok zajmujemy coraz dalsze miejsca w różnych spartakiadach i Igrzyskach młodzieży, a szczytami się osiągnięciami organizacyjnymi, ilością osób — startów itp. Nie bardziej żłudnego jak takie wyliczenia.

Natomiast ze zdumieniem śledziłem zwycięski marsz młodych uczennic i uczniów Ziem Łódzkiej. Jeszcze w ubiegłych Igrzyskach w Szczecinie, Ziemia Łódzka zajmowała dalekie 17 miejsce, by na VI IMS skoczyć aż o 10 lokat w górę. Nie należy zapominać, że nasze województwo jest znacznie gorzej wyposażone w bazę sportową niż Łódź, jest pod tym względem ubogim krennym metropolii. I raptem ten ubogi krenny bije na głowę swego bogatego kuzyna, osiągając w niektórych konkurencjach wyniki bardzo dobre. Weźmy chociażby, zapasników, koszykarki, lekkoatletów czy gimnastyczki. Widąc wyraźnie, że nad poprawą stanu sportu szkolnego na Ziemi Łódzkiej myśli się poważnie i pierwsze efekty już są. Niech więc Łódź bierze przykład!



EWA NURCZYŃSKA

FELLINI

Popularność książek o kinie jest zjawiskiem odpowiadającym powszechności zainteresowań samym przedmiotem. Książki o filmie znikają z półek księgarskich bardzo szybko, i to często bez względu na ich wartość. Głód wiedzy o filmie nie jest pomysłem tych, którzy profesjonalnie ją uprawiają. Kupuje się zarówno naukowe relacje filmologii, czy skromniej mówiąc — filmoznawstwa, w równej mierze, jak książki popularne, zbiory felietonów i recenzji filmowych, czy monografie twórców — naszego czy światowego kina.

Przed dwoma miesiącami pojawiła się w księgarniach i natychmiast zniknęła książka Marii Kornatowskiej „Fellini”. Jest ona dowodem na to, że o wartości tego typu książek decyduje właśnie indywidualność piszących, którzy dają swym czytelnikom szansę wspólnego przeżycia wielkiej przygody, wspólnej wędrówki po świecie twórczości ukończonych przez siebie autorów filmowych. Ta propozycja intymności spotkania jest jednym z walorów książki Marii Kornatowskiej. Urok tej

książki wynika ze świadomości przyjętej przez autorkę postawy partnera rozmowy o Mistrzu Fellinim z interlokutorem, który zna jego dzieło, ale nie zawsze miał okazję o nim mówić.

Kornatowska zna twórczość Wielkiego Federica, zna jego ojczyznę i jej kulturę, więc po mistrzowsku rozmowę tę prowadzi, nie poucaza, a podpowiada, zwraca uwagę na to, co czytelnik jej książki nie zauważył lub czego nie wiedział. Powoli wciąga nas autorka w świat twórczości i osobowości artystycznej Felliniego, dokonując interpretacji wnikliwej, pełnej odniesień do kultury, sztuki i obyczajowości włoskiej w ogóle.

„Dla Felliniego uprawianie sztuki nie jest profesją, ani nawet środkiem przekazywania myśli i idei. Jest sposobem bycia. Funkcją biologiczną”. Tropiąc ten sposób bycia, autorka monografii prowadzi nas do samych źródeł Fellinowskiej sztuki, jej uwarunkowań tradycją i narodowym charakterem oraz samą „plebejuszowską” naturą twórcy. Opis i interpretacja drogi twórczej i poszczególnych dzieł Federica Felli-

nego, to w książce Marii Kornatowskiej ciągle odkrywanie zależności od tradycji baroku i secesji, od tradycji melodramatu i różnych form ludowego widowiska z jego scenariem, rekwizytami i postaciami, to odnajdywanie wątków i motywów stałych w dziele Felliniego, to ujawnianie ich wewnętrznych przemian i wzbogacanych stale kontynuacji, to, wreszcie, tropienie „włoskości” wielkiego Włocha.

W sposób szczególnie interesujący proponuje Kornatowska wyjaśnienia owych określonych tradycji artystycznych, źródeł inspiracji i tematycznych fascynacji, określonych u Felliniego sposobem pojmowania rzeczywistości (za Eliadem nazywa go autorka „sakralnym”) i sztuki. Temat: sztuka i artysta, jako centralny w twórczości Felliniego, jest też leitmotiwem książki Kornatowskiej. Wiedzie on od „Światła variete” przez „Osiem i pół” do „Satiriconu”. Odnajdujemy reżysera, którego biografia jest częścią jego twórczości, dlatego wyprawa w świat sztuki i artysty jest w „Fellini” Kornatowskiej, dzięki świetnemu przewodnictwu, tak pasjonująca. Dotyczy to również procesu rozszyfrowania Fellinowskiej koncepcji sztuki-widowiska. Muszę też wyznać, iż spotkania z bohaterami filmów Felliniego są w tej książce nie tylko spotkaniami ze starymi znajomymi, są to okazje do poznawania ich na nowo i lepiej. Kornatowska zna te postacie, jak chyba nikt pod naszym zimnym niebem, zna też ich

twórcę — jego słabości i wielkości, umie o nich mówić tak, by portret człowieka i artysty uczynić pełnym, daleka jest od pomnikowej jego koncepcji. To następny niepodważalny walor tej książki, pisanej piórem pełnym wdzięku, czasem nawet małej kokieterii a jednocześnie bardzo wnikliwym i mądrym. „Fellini” Marii Kornatowskiej to naprawdę dobra literatura.

Zawarty w „Fellini” e-sej dopelniają fragmenty scenariuszy i scenopisów (w tym nie lada rarytas — fragment kończącej „Osiem i pół” sekwencji, którą reżyser zmienił w ostatniej chwili na wielki „cyrkowy” finał), dalej wypowiedzi i listy Felliniego, głosy światowej krytyki o jego filmach, pełna filmografia i nieco fotografii.

Pisałam o braku szacunku wydawcy wobec czytelnika, w przypadku „Fellini” można też mówić o braku szacunku wobec autora książki. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe znalazłszy nowego, świetnego autora nie oszczędziły mu błędów w tekście, a już jako casus wydawniczy można uznać np. traktowanie tytułów nadrzędnych członków mniejszą niż tytuły podrzędnych. A w ogóle, na całym świecie książki o filmie bogate są w zdjęcia (takie już prawo kina), czy nas nie stać na to, by zdjęcia w takich książkach funkcjonowały przemyślanym układem wizualnym?

Maria Kornatowska „Fellini”, WAI, Warszawa 1972 r.

W czas kanikuly dwukrotnie (sobota, niedziela) uraczono nas transmisjami z FAMY 72, studenckiego festiwalu w Swinoujściu. W słowie „uraczono” jest pewna przesada. Człowiek ze śmiechu nie spadał z krzesła, ale było to widowisko nad wyraz sympatyczne i dowcipne. Karmieni na co dzień sztampą „zawodowej rozrywki”, zakosztowaliśmy autentycznej zabawy, podanej w oryginalnej formie.

Był w tym dobry pomysł sceniczny, jakaś myśl przewodnia, wiążąca w udaną całość poszczególne wątki. Dużo zdrowej drwiny, parodii, błazenady i celnych point.

FAMA ma już swoją tradycję. Jest to, oczywiście, tylko jeden z fragmentów żywotnego ruchu kulturalnego na wyższych uczelniach. Mam tu na uwadze głównie teatry studenckie Warszawy, Krakowa, Łodzi, Wrocławia. Dlaczego tak rzadko na telewizyjnym ekranie możemy oglądać studencki dorobek? Oczywiście pozycje najlepsze, najciekawsze, wyselekcjonowane rozsądnie... Jest to chyba propozycja do poważnego potraktowania w przeddzień nowego sezonu teatralnego. I od ręki, żeby nie być gołosłownym, proponuję spektakl „UNIBOSA”, ostatnie wybitne osiągnięcie dramaturgiczne Teatru „Pstrąg” z Łodzi. Na pewno zaciążyło na obecnym stanie rzeczy przekonanie, że teatr studencki jest elitarny, niezrozumiały dla masowego odbiorcy. Jest w tym dużo racji, ale nic to jeszcze nie przesądza. Trzeba kiedyś zacząć. Może na początek w drugim programie?

★ ★ ★

W czwartek obejrzelismy dwa filmy dokumentalne: „Hair” w reżyserii Marka Piwowskiego i „Wznosząc pomnik” Jerzego Jaraczewskiego. Samo zestawienie tych filmów jest wymowne. Uzupełniają się w jakiś sposób i przeczą sobie. Na szczęście... „Hair” jest bezkompromisowa, okrutna drwina z ludzkich stereotypów zachowań. Pokazuje, jak nonsens, bzdura, sztampa, kult pozoru wdzierają się w nasze życie. Można się z tego śmiać, skrzywić drwiąco, zlekceważyć machnięciem ręki... Niezależnie od reakcji, film Piwowskiego zmusza do poważnej refleksji, do spojrzenia na siebie samego i swoje najbliższe otoczenie. I trzeba, niestety, zgodzić się z twórcą filmu, że jest to refleksja napawająca smutkiem.

Podobnie jest z filmem Jaraczewskiego, chociaż pozornie pokazuje zjawisko odległego od miejsca reportażu z fryzjerskiego konkursu. O Janie Stachu, który w pojedynkę wybudował most nad górską rzeczką, most — właśnie ów tytułowy pomnik, pisała już szeroko prasa. Ze Stacha słusznie zrobiono bohatera. W licznych reportażach, rozmowach z człowiekiem, który sam przez trzy lata wybudował most, brakowało mi jednego. I to właśnie reżyser Jaraczewski celnie uchwycił. Jego bohater pracuje sam, w milczeniu, uparcie. Milczy kiedy mówią jego najbliżsi, sąsiedzi. Milczy również na przyjęciu, podczas wznoszenia toastów, sławiących jego wysiłek...

Reporterzy usiłowali z przypadku Stacha wykreślić optymistyczny wniosek: „Jak to człowiek może wszystkim trudności pokonać”. Dla mnie jest to wydarzenie smutne, więcej nawet, przynębiające. Nie możemy tej Polski tak budować, w pojedynkę, pod presją przymusowej sytuacji, gołymi rękami i ludzkim uporem. Oddajmy Stachowi sprawiedliwość, to bohater i prawdziwy mężczyzna. Ale, na Boga, nie takich bohaterów współczesności nam potrzeba.

JAROSŁAW TARNO

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kiedy dowiaduję się, że scenariusz filmu oparty został na autentycznych wydarzeniach, z miejsca nabieram doń nieufności. Prawdziwe wydarzenia są podstawowym surowcem dla pracy dziennikarza, dla publicystyki, felietonu, reportażu. W tych formach pisarskich autentycznym jest niezbędny niezależnie od tego czy będzie to zwykła informacja, czy reportaż o walorach literackich. Inaczej z literaturą piękną, czy dziełami sztuki. Tutaj najczęściej zdarza się, że najbardziej prawdziwa prawda przeniesiona na ekran czy scenę, wydaje się nieprawdopodobna, podczas gdy fikcja, sytuacje wymyślone, mają wszelkie cechy prawdopodobieństwa, są dziełami sztuki poruszającymi głęboko widza czy czytelnika. Oczywiście ma to miejsce wówczas, gdy sytuacja fikcyjna jest nieprawdziwa lecz prawdopodobna, gdy wynika z określonych warunków społecznych, jest jakby wypadkową wielu zjawisk.

Kiedy więc po obejrzeniu nowego filmu polskiego „150 NA GODZINĘ”, (scenariusz Edwarda Redlińskiego, reżyseria Wandy Jakubowskiej, zdjęcia Krzysztofa Winiewiczza) przeczytałam notatkę, że „materiału do scenariusza dostarczył autentyczny wypadek z terenu Białostoczczyzny”, wiedziałam już dlaczego jest to film nieudany. Cóż to bowiem za „autentyczny wypa-

dek”? Wiejski chłopak, ogarnięty marzeniem posiadania wozu zagranicznej marki i zamponowania nim dziewczynkę, ucieka do miasta, bo postanawia własną uczelnią pracą zarobić na kupno takiego wozu. Nie wiem co w tym przypadku jest ewenementem godnym scenariusza filmowego. Nie znam statystyk i nie wiem ilu wiejskich i miejskich chłopaków ucieka z domu dla różnie rozumianej przygody, ale myślę, że wielu. Może więc ewenementem jest, że filmowy bohater, z życia wzięty, chce zdobyć samochód uczelnią pracą? Nie wiem czy także wydarzeniem autentycznym jest, że Marcin ucieka do miasta do stryja — fotografa, uczy się tam zawodu i że szereśliwym zbiegiem okoliczności stryj wkrótce umiera, zostawiając zakład w spadku bratankowi. Ale nie to jest w końcu istotne.

Przyznać muszę, że „młodzież wiejską” znam głównie z audycji telewizyjnych. Bowiem dziewczęta i chłopcy wiejscy, uczący się i pracujący w mieście nie wyróżniają się niczym wśród młodzieży pochodzenia miejskiego. Moje dziennikarskie, dość ubogie zresztą, kontakty z tzw. terenem, kończyły się zawsze podziwem, że tak wielu kulturalnych, mądrych i światłych ludzi tam pracuje, a porównania z miastem wychodzą mi nierzadko na korzyść tego tzw.

terenu. Nie wiem na ile stosunki wiejskie pokazane w filmie są prawdziwe. Nie wiem czy są tacy chłopcy jakich pokazano, nie wiem czy dziewczęta kąpią się w beczkach, w obecności brata opowiadającego im o urokach wygód miejskich, mogą wyjść z kąpielni w świeżutkich prosto od fryzjera koafiturach, ubrane całkiem modnie i czy ich matka, kobieta wcale niestała, wsiądzie do pontiacu w chusteczce na głowie. Nie wiem czy wiejski chłopak, sprytny i inteligentny na tyle, by w krótkim czasie opanować zawód i zasady reklamy pozwalające mu na zbicie ciężkiej forsy, pozwolił się jednocześnie tak naiwnie oszukać samochodowemu kanclarzowi kupując kupę złomu pod marką pontiacu.

Ale nie czeplajmy się detali, w komedii możliwe są najbardziej nieprawdopodobne sytuacje (nawet w opartej na autentycznym wydarzeniu) pod warunkiem, że będzie to naprawdę komedia i okazja do zdrowego, serdecznego śmiechu. Ale „150 na godzinę” to film wcale nie zabawny. Nietłuczne efekty komedowe to chwytły tanie i ograne, (najzabawniejsza jest tu chyba muzyka, czy raczej ilustracja muzyczna Waldemara Kazaneckiego). Naiwna i nieprzekonywująca jest też dydaktyka filmu, która sprowadza się do tego, że w młodym wieku nie należy gonić za pieniędzmi,

lecz uczyć się pilnie, studiować agronomię i wracać potem na wieś, by naukowo hodować gęsi. Do takiego wniosku dochodzi bodajże bohater zamieniając rozbitego pontiacu na motorower. Można to wynioskować z finałowego uśmiechu rozjaśniającego jego zachmurzone oblicze.

Nie chcę, broń Boże, powiedzieć że jestem przeciw studiowaniu agronomii i wracaniu na wieś. Jest to idea jedynie słuszna. Jestem tylko przeciw propagowaniu jej w tej formie.

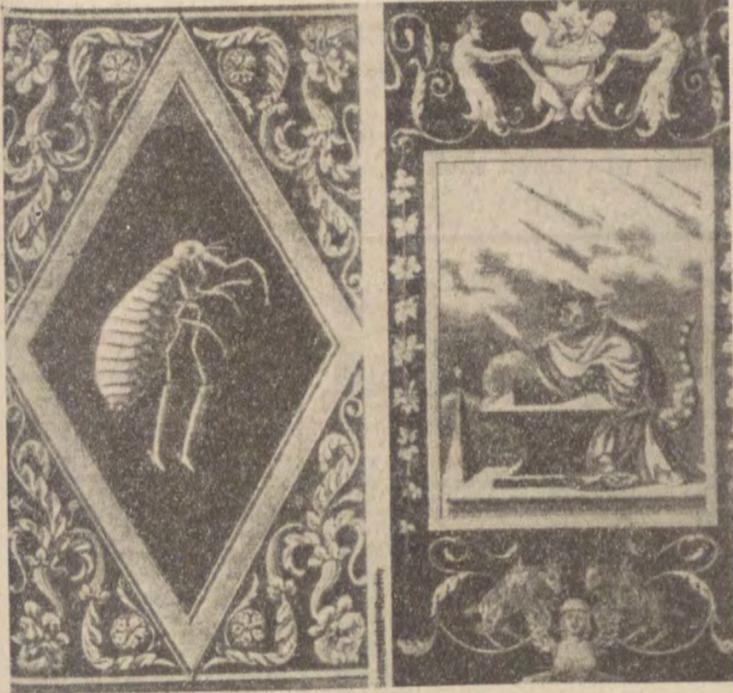
Wanda Jakubowska, reżyser doświadczonej, mający za sobą bogaty dorobek filmowy, wieloletni pedagog, też chyba nie najlepiej zna wieś i dlatego preferencja scenariusza podejmując się jego realizacji. Dzięki temu jednak, że jest doświadczonym reżyserem i pedagogiem, wykonałszy głównych ról — studentki szkół aktorskich, wychodzą z tego filmu zwycięsko. Są sympatyczni, naturalni i potwierdzają prawdę, że trudno dziś odróżnić młodzież wiejską od miejskiej. A także dowodzą że rośnie nam pokolenie utalentowanych aktorów. Zawsze to optymistyczny wniosek.

JOANNA SERGONT

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Projekty okładek wykonanych przez Hoffmanna do jego opowiadań: „Mistrz Pchła” i „Kota Mrużysława poglądy na życie”.

HOFFMANN MALARZEM

Na podstawie jego literackich utworów Jacques Offenbach skomponował operę pt. „Opowieści Hoffmanna”, na podstawie jednego z jego opowiadań Piotr Czajkowski napisał swój słynny balet pt. „Dziadek do orzechów”. Często groteskowa, czasem o wręcz niesamowitej fantastyce, twórczość Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna pobudzała wyobraźnię kompozytorów. Romantyk Hoffmann uprawiał również z zamiłowaniem realistyczną satyrę skierowaną przeciw głupocie, filisterstwu i ludzkiej tępotnie. Znany przede wszystkim jako pisarz, znakomity nowelista, choć pisywał i powieści, uprawiał równocześnie muzykę, komponował opery, malował i rysował zwłaszcza karykatury. Zmarł 150 lat temu pisarz najmniej jest znany właśnie, jako malarz.

Urodził się w 1776 roku w Królewc. Jako asesor sądowy przebywał m. in. na ziemiach polskich pod niemieckim zaborem w Poznaniu, Płocku i Warszawie. Właśnie do Płocka został przeniesiony dyscyplinarnie z Berlina, gdy narysował serię karykatur pruskich oficerów. Koleżdy Hoffmanna dopisali pod owymi portretami zabawne wierszyki, rozdano te karnetki na jakiejś uroczystości kilku osobom i Hoffmann przekonał się, że nie zawsze kariera urzędnicza da się pogodzić z działalnością satyryczną. Z wykształcenia i zawodu prawnik, posiadał szerokie zainteresowania artystyczne. Mając lat 27 nie był jeszcze zdecydowany, czy ma obrać karierę prawnika, czy też zostać muzykiem lub artystą malarzem. Jednym z najbardziej twórczo płodnych okresów w życiu Hoffmanna są lata jego pobytu w Bambergu od roku 1808

do 1813. Obok swej pracy zawodowej Hoffmann pisał, dyryguje orkiestrą, intensywnie zajmuje się rysunkiem i malarstwem. Wówczas to ukazują się drukiem pierwsze jego opowiadania. W rok później zebrał, ukazał się pod tytułem, który jest równocześnie holdem od danym znakomitemu francuskiemu grafikowi: „Phantasiestücke in Callots Manier”. I grafika Jacquesa Callot stała się później inspiracją dla twórczości literackiej Hoffmanna, gdy napisał swą „Księżniczkę Brambilla”, która wydana drukiem w tysiąc osiemset dwudziestym roku będzie miała podtytuł: „Capriccio według Jakuba Callot”. Z czasów bamsberskich pochodzą najlepsze dzieła malarskie Hoffmanna wykonane techniką gwaszu, portret rodziny Kunz. Przedstawił na nim swego przyjaciela, handlarza win i równocześnie swego wydawcę wraz z jego rodziną. Hoffmann pracował nad

tym dziełem od końca września 1812 roku do połowy lutego roku następnego. Obraz został przez wszystkich znanych uznany za świetny. Nie wolny od romantycznej manieri charakteryzującej się pewną teatralnością gestów i spojrzeń malowanych modeli, obraz przykuwa jednocześnie wzrok widza specyficznym nastrojem rodzinnej harmonii osób zgromadzonych przy stoliku z winem i owocami. Postacie te ukazane są na tle ciemnej draperii i górzystego krajobrazu z ruinami zamku za oknem. W lewym, dolnym kącie płótna widnieją księgi i broń myśliwska. Drugi

obraz, także w technice gwaszu (Hoffmann nigdy nie malował farbami olejnymi) przedstawia samego Hoffmanna w przebraniu Wergiliusza, pokazującego przyjacielowi doktorowi Marcusowi ruiny zamku pod Bambergiem. Dodajmy nawiasem, że doktor zachęcony widąc skutecznie przez Hoffmanna, kupił owe ruiny i przystosował do celów mieszkalnych jedną z baszt, a swemu przyjacielowi powierzył wykonanie artystycznych prac malarskich. Wykonane przez Hoffmanna freski nie dochowały się jednak do naszych czasów. Hoffmann, który ożenił się z Polką, T. M.

Trzcina namalował także cenną dla nas pamiątkę — album mundurów wojska polskiego. Niestety, większa część plastycznej twórczości Hoffmanna, szereg rysunków, karykatur, ilustracji do jego książek, projektów okładek, uległa zniszczeniu w czasie ostatniej wojny. Wiele jednak rysunków znanych jest dzięki wydawnemu w roku 1925 przez W. Steffena i H. v. Müllera zbiorowi dzieł graficznych Hoffmanna. Obecnie przygotowuje się w jednym z hamburskich wydawnictw reedycję tej książki, która ukaze się jeszcze w tym roku.

ska stała się muzeum akademizmu, gabinetem mumii. A na pytanie kiedy Francuzi mogliby przewyciężyć ten stan martwożył ten stan różni się od francuskiej kultury jest jedynie jej wspaniała przeszłość. I w jednej tylko dziedzinie — twierdzi pamflicista — Francuzi od bardzo dawna, aż po dzień dzisiejszy są nie równani: posiadają znaczną umiejętność zręcznego i efektywnego formułowania banałów i potrafią nadać temu tak wielką lekkość, że potrzeba dopiero znacznego dystansu, aby się przekonać, że to tylko puste słowa.

Krytyka literacka? Sternberg uważa, że źródłem paryskiej krytyki jest po prostu kumoterstwo. Ono to sprawia, że „byłe rodzime cudowne dziecko, które samodzielnie potrafi zrobić siliusi i wypluć z siebie sześćset niezrozumiałych stronic, gdy mu się brzech poćniwie” wyznoszone jest pod niebiosa.

Na razie nikt z krytyków literackich nie odpowiedział na pamflet Sternberga.

PAMFLET NA PARYŻ

Urodzony w Antwerpii, a żyjący od ćwierć wieku w Paryżu, 49-letni powieściopisarz i felietonista Jacques Sternberg wydał ostatnio 140-stronicową broszurę w formie listu otwartego, w którym dowodzi, że Paryż jest obecnie wielką pustynią kulturalną i od lat dwunastu nie widać w nim najmniejszego nawet śladu prawdziwej działalności twórczej.

Literatura, która, zdaniem Sternberga, jeszcze nie tak dawno kwitła dzięki takim nazwiskom, jak Sartre, Robbe-Grillet, czy Genet, od roku

1960 jest martwa. Sternberg twierdzi dalej, że w literaturze francuskiej dziś już nie dzieje się ciekawego i że żyje ona z naśladownictwa, a nawet plagiatów literatury zagranicznej. Eksploatuje się dawną awangardę jedynie ja lakierując. Pozostaje się przy wielkościach już dawno uznanych. To pewniejszy interes i bardziej opłacalny, bowiem, jak mówi Sternberg, „pierwszą damą Paryża jest forsa”. „W paryskich piśmie literackich — pisze Sternberg — mówi się tak o Stendhalu, jakby był młodym autorem, albo też z całą troską roztrząsa się zagadnienie

ile to filiżanek kawy wypit rzeczywiście Balzac i czy Gide sam sobie przyszywał guziki do rozporka”. Film? Sternberg uważa, że wielkość francuskiego filmu od dawna już jest tylko mitem. Teatr? We francuskim teatrze jeśli ktoś chce znaleźć coś interesującego to musi sięgnąć do wieku XVII. Współcześnie w teatrach paryskich panuje istny kult nieboszczyków — twierdzi Sternberg. Nie przestaje się odgrzebywać Racine'a, Corneille'a i Marivaux. Z radością zatrudniono by dawno zmarłych aktorów, gdyby udało się ich wskrzesić. Cała scena pary-



Henri Charriere zwany „Motylem” z żoną, Ritą w swej luksusowej willi w Wenezueli

Listy do Redakcji

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Zamieszczony w 31 numerze artykuł pt. „Zooologia i stressy” zilustrowany został dwoma naszymi zdjęciami, które choć w nie najlepszej reprodukcji, wyrażają przecież wskazania, kto jest kto. Tymczasem podpis pod zdjęciami zostały widocznie zamienione. I mnie — Gibbona nazwano Koczkodanem, a Koczkodana — Gibbonem. Nie przejmujemy się tym, że ludzie nazwy naszego gatunku używają do najpaskudniejszych obelg, bo jesteśmy wyższe ponad to, naszą inteligencją jest w świecie zwierzęcym powszechnie znana. Jeżeli jednak tak często postugujecie się naszymi imionami do obrażania siebie, to przynajmniej poznajcie nas do brze.

Z poważaniem

Gibbon Białoreki (—)
Koczkodan Diana (—)

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

TYLKO DLA ORLÓW

FILM, KTÓRY JEST BAŚNIĄ ◀ NIE TE MIARY ▶
PYTANIA O MORALE ▶ DYSTRYBUTOR JEST WINIEN? ▶ WOJNA TO NIE GARDEN PARTY ▶
PIĘKNE LUDZKIE CECHY ▶ WYCHOWAWCZE ASPEKTY.

Moja uczona w filmie koleżanka z sąsiedniej strony oburzyła się i zgorszyła filmem „Tylko dla orłów”. Nie wtrącałbym się do opinii recenzentki nawet jeśli uważam, że są one wynikiem typowego skrzywienia „filmologicznego”. Tym razem jednak Ewa Nurczyńska strzela z armat wielkiego kalibru. Znakomite widowisko filmowe jakim jest o-

braz „Tylko dla orłów” ocenia bowiem w kategoriach nie do przyjęcia. Zarzuca filmowi karykaturalność i mitotwórstwo. Zabawne, bo przecież film ten jest współczesną baśnią, jest legendą — w tej właśnie konwencji został zrealizowany; mit jest integralną częścią tej konwencji. Nie można w nadludzkich i nieprawdopodobnych wyczynach

grupki komandosów widzieć karykatury, bo rozumując w ten sposób karykaturą będzie każda opowieść w konwencji bajki. Karykatura może być bajką o rybaku i rybce — może być nią również klasyczny western „W samo południe”.

Jeśli mnie interesuje historyczna prawda o Dzikim Zachodzie nie odwołuję się do westernowej legendy. Jeśli mnie interesuje prawda i autentyzm zmagani drugiej wojny światowej nie odwołuję się do baśniowego widowiska typu „Tylko dla orłów”. Nurczyńska oczekiwała widać od tego filmu zupełnie czego innego niż zakreślają ramy jego konwencji. Nie jest to wina ani ulomność konwencji filmu lecz wada wzroku recenzentki. Nie te miary do tego filmu.

Ale to jeszcze nie powód, żebym się wtrącał do opinii mojej uczonej w filmie koleżanki. Przyczyna jest inna. Oto Ewa Nurczyńska rzuca pytania dużego kal-

bru. Pisze: „Czy jednakże ten typ atrakcji i rozrywki, której moralne i wychowawcze aspekty muszą budzić wątpliwości winien stać się udziałem naszego widza? Ponawiam pytanie o mądre funkcjonowanie naszego dystrybutora...”.

I tu już żadną miarą nie tylko zgodzić się nie można, ale trzeba zaprotestować. Wiele zapewne można zarzucić dystrybutorom, ale właśnie w tym wypadku dokonali oni znakomitego wyboru. Dziecinadą są demagogiczne bajania o wątpliwościach moralnych i wychowawczych. W swojej wypowiedzi właśnie moralnej film jest piękny, choć ktoś tam kogoś zdzielił sztyletem czy wypalił z pistoletu. Film mówi o wojnie a nie o garden party, więc bohaterowie strzelają. Ale nie ma w tym filmie okrucieństwa — jak twierdzi Nurczyńska. Jest twarda, bezapardonowa walka z niebezpiecznym wrogiem: silnym, licznym, bezwzględnym. Najgroźniejszym wrogiem, jaki nam się

w nowożytnej historii objawił, z faszyzmem. Bohaterowie filmu strzelają w imię określonych racji. To nie tylko człowiek strzela do człowieka, ale jest to zderzenie na innej płaszczyźnie. Nie wolno więc w stosunku do pozytywnych bohaterów filmu szermować epitetem „mordercy”. Można mieć własne zdanie na temat filmu, ale nie można przekraczać granic przyzwoitości.

Nurczyńska pisze, że w pozytywnych bohaterach „Tylko dla orłów” nie ma nic ludzkiego. Nie mam pojęcia, jak doświadczonej recenzentce historia mogła przesłonić głęboko ludzkie, czasami wzruszające reakcje solidarnej aż do nieprawdopodobieństwa czwórki asów wywiadu.

Przecież najbardziej ludzkie i właśnie wychowawcze aspekty tej opowieści mieszczą się w owej solidarności bohaterów. Przecież wychowawcza rola tego filmu tkwi także w fakcie, że zwycięża nie siła ognia,

liczebność wojska, ale ludzka pomysłowość, solidarność, inteligencja, umiejętność przewidywania. Ewa Nurczyńska jako nie zauważyła, że zwyciężają nie pięść, sztylet i pistolet maszynowy — ale właśnie te wcale nie do pogardzenia ludzkie cechy. Dlatego nie widzę w „Tylko dla orłów” żadnych wątpliwości natury wychowawczej czy moralnej. Wymowa tego filmu — zgodnie z jego konwencją — jest moralnie czysta i wychowawczo bez zarzutu.

A że się biją, że strzelają? Mój Boże, przecież to film o wojnie, ale — powtarzam — nie ma w nim okrucieństwa i ordynarnej „jaki”.

Wymierzanie armaty przeciwko CWF przy okazji „Tylko dla orłów” jest strzałem kulą w płot. Dywagacje na temat nie najlepszych gustów publiczności, przy okazji tego właśnie filmu, są także zabiegiem niecelnym.

JERZY WILMAŃSKI

Tajemnica Market Basing

— Nie ma nic lepszego nad wieś, prawda? — zachwycił się inspektor Japp oddychając pełnym płucami.

Poirot i ja zgodziliśmy się z nim.

Pomysł wycieczki wyszedł od inspektora Scotland Yardu, który zaproponował, żebyśmy udali się na weekend do Market Basing, małego miasteczka pełnego zieleni. Japp znał świetnie botanikę i często, dyskutując z nami na temat kwiatów. Wykazywał wówczas większy entuzjazm, niż w czasie sprawowania służby policyjnej.

— Najpiękniejsze jest to, że nikt nas nie zna i my nikogo nie znamy — ciągnął dalej inspektor.

Lecz to stwierdzenie miało się wkrótce okazać bezpodstawne. W niedzielę rano, siedząc przy śniadaniu w małym, wiejskim hotelu czuliśmy się doskonale, chociaż jajecznicę z szynką nie była taka jak w Londynie, kawa zaś marna lecz za to gorąca.

— To się nazywa prawdziwe życie! — cieszył się inspektor.

— Gdy skończę ze służby policyjną wybuduję sobie domek na wsi. Nareszcie będę z dala od wszelkich gwałtów.

— Zbrodnię spotyka się wszędzie — zauważył Poirot wyciągając rękę po dużą kromkę chleba. Jedząc śniadanie przyglądał się posępnym wzrokiem, wróbelkowi, który zuchwale skakał po parapecie okna.

— Wiele co — wtrącił Japp oparłszy się o fotel — myślę, że zjadłbym jeszcze jedną porcję jajecznicę z szynką. Co pan na to, kapitanie Hastings?

— Będę panu towarzyszył — odpowiedziałem.

— A pan, Poirot?

— Detektywy potrząsnął przecząco głową.

— Nie należy przeciążać żołądka, moi przyjaciele — zawiązywał z powagą — bo mózg przestaje potem funkcjonować.

— Trudno, jednak zaryzykuję — roześmiał się Japp. — Czuję, że mam jeszcze trochę miejsca w żołądku. — Proszę podać dwie porcje jajecznicę z szynką!

W tym momencie pojawił się na sali mężczyzna. Poznał go, był to Pollard, naczelny intendent miejscowej policji.

Zbliżył się do ich stolika.

— Panowie, proszę mi wybaczyć, że przeszkodzię inspektorowi Jappowi w śniadaniu — tłumaczył się. — Bardzo mi potrzebna jego rada.

— Jestem na urlopie — oświadczył Japp. — Dziś nie pracuję. — Czyżby się coś wydarzyło?

— Pan na Leigh Hall... strzelił do siebie... w głowę.

— No i cóż takiego — mruknął inspektor, z pewnością długi lub jakaś kobieta. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. Da sobie pan radę.

— Faktem jest... — podjął na nowo — Pollard — że... nie mógł się sam zabić. W każdym razie tak twierdzi policyjny lekarz, pan Giles.

Japp postawił filiżankę z kawą na stole.

— Nie mógł się zabić? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Powtarzam słowa doktora Gilesa — rzekł intendent. — Twierdzi, że samobójstwo jest niemożliwe. Niezrozumiałe jest także, jak mógł się tam dostać zabójca. Drzwi są zamknięte od wewnątrz, a na zamkniętym oknie jest założona sztaba. Jednak lekarz upiera się że pan Brother nie popełnił samobójstwa.

Tego było już za dużo. Odstawiliśmy na bok drugą porcję jajecznicę z szynką i w kilka minut potem jechaliśmy w kierunku Leigh Hall. Po drodze inspektor Japp zadawał pytania Pollardowi.

Zmarły nazywał się Walter Brother. Był to mężczyzna w średnim wieku, bardzo poważny i opanowany. Osiedlił się w Market Basing osiem lat temu. Wydzierżawił Leigh House, starą willę prawie zrujnowaną. Mieszkał w prawym skrzydle domu w towarzystwie pokojówki, którą ze sobą przywiózł. Nazywała się Florence Clegg, była kobietą inteligentną i w miasteczku bardzo poważaną. W ostatnich dniach pan Brother gościł u siebie państwa Parker z Londynu.

— Kiedy zauważono morderstwo? — zapytał Japp.

— Dziś rano miss Clegg poszła obudzić swego chlebodawcę, aby mu podać, jak zwykle, kawę. Zapukała kilkakrotnie do drzwi i nie otrzymawszy odpowiedzi zatelefonowała do policji oraz do lekarza. Przybyłem prawie równocześnie z doktorem Gilesem, i razem weszliśmy do sypialni pana Brothera...

— I co zobaczyliście? — niecierpliwili się inspektor.

— Leżał na podłodze z kulą w głowie. Pistolet był jeszcze w prawej ręce. Wyglądało mi to wszystko na klasyczny przypadek samobójstwa...

Z dalszego opowiadania dowiedzieliśmy się, że doktor Giles po zbadaniu zwiok zamyslił się głęboko. Wyszedszy z sypialni do drugiego pokoju przedłożył Pollardowi swe wątpliwości. Sytuacja komplikowała się, intendent przypomniał sobie o Jappie. Pozostawiając lekarza na miejscu pobiegł do hotelu szukać rady.

Przyjechaliśmy do Leigh House gdy Pollard zakończył już swe opowiadanie.

Wielki budynek był źle utrzymany. Wokoło rozciągał się ogród, także zaniedbany. Drzwi wejściowe były otwarte, weszliśmy do szerokiego hallu. Potem znaleźliśmy się w małej sali, gdzie zebrały się cztery osoby. Wysoki mężczyzna, ciemnowłose, niedbale ubrany, z twarzą antypatyczną. Obok niego stała kobieta o podobnym wyrazie, lecz dość elegancka. Druga kobieta, cała w czerni, trzymała się na uboczu. Pomyślałem, że to zapewne pokojówka. Wreszcie zobaczyłem przystojnego mężczyznę w sportowym ubraniu, o inteligentnej twarzy. Podszedł do nas bliżej.

— Pozwalam sobie przedstawić doktora Gilesa — rzekł komisarz Pollard. — A to jest inspektor Japp ze Scotland Yardu i jego dwaj przyjaciele: detektywy Poirot i kapitan Hastings.

Lekarz przywitał się z nami i przedstawił państwa Parker. Następnie udaliśmy się za nimi na pierwsze piętro. Pollard, wykonując rozkaz Jappa, został na dole.

Giles poprowadził nas przez długi korytarz, na końcu którego były drzwi, a raczej to, co z nich zostało po wyważeniu. Weszliśmy do wnętrza. Pan Brother leżał jeszcze na podłodze. Mógł mieć pięćdziesiąt pięć lat, nosił gęstą brodę. Na skroniach szpakowate włosy. Japp pochylił się nad zwłokami.

— Dlaczego poruszyliście go? — zauważył z niezadowolaniem. — Lekarz wrzucił ramionami.

— Wydawało się, że to klasyczny przypadek samobójstwa.

Inspektor zmarszczył czoło. — A jednak kula przebiła się pod lewym uchem.

— Właśnie! — potwierdził szybko lekarz. — I dlatego jest niemożliwe, żeby popełnił samobójstwo. Musiałby bardzo wykręcić rękę na lewo, żeby strzelić. A to niemożliwe!

— Jednak znalazł go pan z pistoletem w dłoni. Gdzie jest broń?

Doktor wskazał na stół.

— Ale nie ścisnął jej mocno — wyjaśnił Giles.

— Widocznie ktoś położył pistolet później — zauważył inspektor.

Podszedł do stolika i obejrzał broń.

— Wystrelono tylko jedną

Zauważyłem, że przez cały czas rozmowy Poirot nie odrywał się. Stał prawie bez ruchu blisko mnie, obserwując inspektora i słuchając jego cytów. Lecz od czasu do czasu wahał powietrze w pokoju, jakby chcąc wyczuć jakiś zapach. Zacząłem go naśladować, jednak bez żadnego rezultatu. Nie czulem nic szczególnego. Lecz Poirot dalej marszczył nos, jakby go coś niepokoiło. Wolałem nie pytać, znając mego przyjaciela.

Nagle Poirot pochylił się nad zwłokami. Nie zauważyłem, żeby interesował się raną. Początkowo myślałem, że obserwuje palce zmarłego, lecz po minucie stwierdziłem, iż uwa-

go znaku. Położyłem ją na miejscu, potrząsając głową. Musiałem uznać się za pokonanego.

Japp i Poirot podnieśli drzwi i zaczęli szukać klucza. Na próżno.

— To jasne — zauważył inspektor. — Okno jest założone sztabą, zbrodniarz wyszedł drzwiami, zamknął je i klucz zabrał z sobą. Mógł, że w ten sposób wprowadził wszystkich w błąd i uwierzył w samobójstwo Brothera. Czy pan się zgadza z moją tezą, Poirot?

— Zapewne, lecz łatwiej byłoby, i nawet mądrzej, wsunąć klucz pod drzwi sypialni. Wyglądałoby, że klucz wypadł z zamka.

— Może, ale nie wszyscy są tak genialni. Mielibyśmy wiele kłopotów z odkryciem zabójcy, gdyby pan się zdecydował dokonać morderstwa, Poirot.

Detektyw był dziwnie niespokojny. Obejrzał się wokoło i rzekł tonem, jakby tłumaczył się: — Ten pan Brother palił dużo papierosów.

Istotnie, kominek był pełen niedopałków. Wiele ich znajdowało się także w popielniczkach przy drzwiach.

— Wypalił jeszcze nocy ponad trzydzieści papierosów — stwierdził inspektor.

Zbadał jeszcze raz kominek i popielniczkę.

— Wszystkie papierosy są tej samej marki — zauważył. — I paliła je ta sama osoba. Lecz nie ma w tym nic szczególnego, panie Poirot.

— Tak przecież nie powiedziałem — mruknął mój przyjaciel.

— A co to jest!? — krzyknął Japp.

Pochylił się nad czymś błyszczącym, op leżącym obok trupa.

— Patrzcie, spinka do manikietu! Panie doktorze, czy mógłby pan zwołać pokojówkę?

— A może przyprowadzić też Parkerów? On się bardzo niecierpliwi, chciałby już odejść. Mówi, że ma pilne interesy w Londynie — rzekł Giles.

Niech poczeka. Musi tu pozostać jeszcze jakiś czas. Proszę mi przystać najpierw pokojówkę. Niech pan uważa na Parkerów, żeby nie odjechali. Czy ktoś tu wchodził do pokoju dziś rano?

Lekarz zamyslił się przez chwilę.

— Nie — odpowiedział. — Wszyscy zostali w korytarzu podczas gdy Pollard i ja weszliśmy do sypialni zmarłego.

— Czy pan jest pewny?

— Absolutnie. Doktor wyszedł z pokoju.

— To dzielny człowiek ten Giles — oświadczył inspektor.

— Bardzo możliwe — mruknął Poirot.



Fot. A. Wach

kulę. Musimy zbadać odciski palców, lecz obawiam się, iż znajdziemy tylko pańskie, doktorze.

Giles pochylił głowę niezadowolony.

— Kiedy zmarł, jak pan sądził? — zapytał Japp.

— Ubiegłej nocy. Nie mogę określić dokładnie godziny śmierci, jak to zwykle czynią detektywi w powieściach kryminalnych. W każdym razie sądzę, że wyzłonił ducha dwa-
naście godzin temu.

gę detektywa przytłacza chusteczka, którą pan Brother trzymał w rękawie szlafroka.

Wreszcie Poirot podniósł się, ale stał dalej przy zwłokach. Dalej przyglądał się chusteczce, jak zafascynowany.

W tym momencie Japp poprosił go, aby mu pomógł przy podnoszeniu drzwi. Skorzystałem z tej okoliczności i przyjrzałem się dobrze zmarłemu. Potem wyjąłem chusteczkę z rękawa szlafroka i zbadałem ją uważnie. Nie było tam żadne-

dostępu szerokim masom do kultury we wszystkich jej przejawach. Masowość skłoniła byliśmy rozumieć jak najdosłowniej — aż do groteski. Jak Dom Kultury — to na dwadzieścia tysięcy słuchaczy. Jak muzeum — to nieustanne tłumy na schodach, w szatniach, w korytarzach. Jak książka — to w nakładzie stu tysięcy, a jak najbliższa piosneczka — to przed dziesięciotysięczną widownią, w deszczu, pod parasolami. No i popatrzcie co się wyrabia: w moskiewskiej „Literaturnoj Gazietie” pisarz Minczkowski upomina się o prawo do samotnej kontemplacji wielkich dzieł sztuki! Samotnej! Nie w wielkim tłumie, depczącym sobie po nogach, zdyszany, idącym, ciągle przecieć idącym... Tłum nie kontempluje nigdy niczego, to są pojęcia całkowicie niezbieżne. Masa to jest coś trochę innego, niech masę zachwycają się Tytjanem, ale przecieć niekoniecznie na zbiorowych seansach zachwyty. Pisarz Minczkowski (cytuje za „Literaturą” z 16 lipca) „upomina się o zainteresowania indywidualne uważając, iż prawdziwy miłośnik Rembrandta z całą pewnością nie będzie włóczył się po muzealnych salach w ogonie nie kończących się wycieczek, których uczestnicy obojętnie oglądają się na wszystkie strony”.

Prawo do samotnej kontemplacji dzieła sztuki jest czymś zupełnie nowym w języku, jakim posługiwali się dotychczas zawodowcy od upowszechniania kultury, dlatego uważałem je za warte przytoczenia. A ponieważ o sztuce, lub szerzej — o kulturze, można nieskończenie, więc powtórzę za „Kulturą” jeszcze jedną, bulwersującą, kontrowersyjną — i dzięki temu zmuszającą do myślenia opinię modnego obecnie we Francji filozofa, Jean Francois Revela: „Kultura to przecieć stałe stawianie pytań, wyrażanie niezadowolenia moralnego i politycznego oraz przewartościowywanie tradycyjnych wartości. Krótko mówiąc, kultura ze swej natury jest działalnością wywrotową...”

Sformułowanie nieco drastyczne, ale przecieć coś w nim jest: źródłem każdego dzieła sztuki jest przecieć bunt, protest, niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Literatura panegiryczna była zawsze literaturą trzeciorzędną. Nie można niczego na świecie poprawić, nie buntując się przeciw światu. Twórczość jest więc naprawdę działalnością „wywrotową” i jeśli potrzebuje — a wiadomo, że tak jest — mecenasa, to może nim być tylko ktoś, stojący po tej samej stronie barykady przeciw czemuś, na tej samej pozycji buntu, protestu, niezadowolenia. Mecenasa, oplacający artystów po to, żeby mu klaszali i głosili jego chwałę, ma do dyspozycji po prostu marnych artystów i cała zabawa może mu się całkiem marnie kalkulować.

Współczujemy oczywiście ludziom wiecznie skwaszonym, mizantropom, malkontentom — to nie o takie „niezadowolenie z rzeczywistością” chodzi. Podejrzliwie też — przynajmniej ja sam — patrzymy na ludzi, idących przez życie z nieustannym grymasem entuzjazmu na buzi, zwłaszcza wtedy, gdy władza patrzy. Nie może być szczerzy entuzjazmu, manifestowany przy sprzecznych wzajem siebie okazjach. Mało jest wart człowiek nieszczerzy, nadorny pochlebca, panegirysta. A znów ze zgrozą obserwujemy ludzi ani smutnych, ani złych, ani po prostu w neutralnym psychicznym spoczynku, tylko właśnie pozostających w ciągłym leciutko uśmiechniętym błogostanie. Są zawsze w nastroju prawie szczęścia, obojętnej zadumy o niczym, wydrążeni z jakichkolwiek treści psychicznych. To przecieć cecha debili!

Natomiast z podziwem, z satysfakcją, z odrobiną zazdrości widzę i słyszę i czytam o takich, którzy mają odwagę powiedzieć swoją prawdę, albo choćby swoją wątpliwość, swoje przypuszczenie, hipotezę. Niechby nawet nie mieli racji — ale tylko dzięki nim świat — eppur si muove...

CWIEK



Lewym
okiem

DZIAŁALNOŚĆ WYWROTOWA

Świat dzisiejszy jako całość jest światem, nad którym nie dominuje żadna uniwersalna idea, taka jak na przykład w średniowiecznej Europie, dopasowującej wszystko bez wyjątku do werbalnie pojmowanej dogmatyki chrześcijańskiej. Ja wiem, mówi się bardzo wiele o uniformizacji umysłów i to jest wielka a smutna prawda. Ale odezwi się jeszcze tu i ówdzie pojedynczy głos człowieka, nie poddającego się uniformizacji, chcącego myśleć po swojemu. Głosy tych pojedynczych, naprawdę myślących ludzi są właśnie eklektyczną mozaiką, zaskakującą nieraz nowym spojrzeniem, nowym ujęciem spraw, ułożonych w całkiem innych kategoriach w tak zwanym „odczuciu powszechnym”, a ściślej — w systemacie poglądów, urobionych przez „środki masowego przekazu”.

Wielką, radosną zdobyczą Rewolucji było otwarcie